INŻYNIER NA BUDOWIE

STR. 1, 6, 7

DŁUGI TYDZIEŃ FILMU polskiego

STR. 3

Magazyn

STR. 12

ODGŁOSY

ROK XVIII NR 38 (928) 18 WRZEŚNIA 1975 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

Uroczystości dożynkowe są nie tylko tradycyjnym obrzędem przyciągającym zaciekawionych folklorem, stanowią także doniosły i ważny fakt w życiu społeczeństwa, gdyż są podsumowaniem roku gospodarczego naszego rolnictwa. O tym jak bilans ten wypadł, w jakim nastroju przebiegały tegoroczne uroczystości w Koszalinie, pisze R. Binkowski w reportażu „Chlebem i solą, po piastowsku".

O sytuacji w polskiej kinematografii pisze Jerzy Wawrzak w swojej relacji z Gdańska, gdzie odbywał się II Festiwal Polskiego Filmu Fabularnego. Wnikliwe uwagi autora tego swoistego sprawozdania stanowić powinny zagajenie do szerszej dyskusji na temat naszego filmu, jego dróg rozwojowych i przyszłości. Niewątpliwie prężny ośrodek łódzkich filmowców zechce ustosunkować się do niektórych wniosków postulowanych przez autora. Udostępniamy zatem łamy naszego pisma wszystkim, którzy zechcą się na te tematy wypowiedzieć.

I jeszcze jeden głos prowokujący wymianę zdań, adresowany do łódzkich twórców. Tym razem o plastyce. Karol Barszczewski zapytuje co to jest „ART" i jaką spełnia rolę? Czy w pełni wykorzystane są szanse jakie stworzyły środowisku plastyków łódzkie Zakłady Artystyczne. W konkluzji autor stwierdza, że plastycy „szansy tej nie zaprzepaszczają". Ale czy to wystarczy? Czy nie stać ich na więcej, by nasze życie uczynić pełniejszym i piękniejszym?

Bełchatów — znajduje się w centrum naszej uwagi. Tym razem najświeższe wiadomości serwuje nam Jan Bąbiński. Jego reportaż „Inżynier na budowie" traktuje o sprawach ludzi, którzy tworzą to gigantyczne dzieło. W ich codziennym znojnym trudzie wyrasta inwestycja na miarę naszych czasów. Rośnie jednak nie tylko budowa, rosną również ludzie — pokolenie odważnych, mądrych i twardych budowniczych nowej przyszłości

JAN BĄBIŃSKI

INŻYNIER na BUDOWIE

W drodze do Biłgoraju zastanawiam się jaki powinien być inżynier na wielkiej budowie. Czy powinien to być człowiek twardy i bezkompromisowy jak Holender w interesach? Giętki i elastyczny niczym Francuz przy konferencyjnym stole? Czy może taki inżynier, rzucony w głęboki teren i zdany głównie na własne siły i umiejętności winien odznaczać się jak Włoch pewną zdolnością aktorską, więc tak działać, aby nikogo nie zrażając w końcu dobić do celu po dużych, gdy trzeba, zygzakach i okrężną niekiedy drogą? Zastanawiam się jakimi cechami charakteru powinien szef na budowie błyszczeć i jaki też sobie dobrać personel.

Inżynier Antoni Wieczorek wyglądał na zaskoczonego.

— **Personel? Nie sądzi pan chyba, że oceniam ludzi według personalnych kwestionariuszy.**

Jedziemy, a Wieczorek, jeden z szefów bełchatowskiego „Energobloku" opowiada jak to wspinał się w trudzie i znoju po szczeblach tej społecznej drabiny. Prawdziwie typowy to życiorys. Wymowny i pouczający. Można by go powielić i jak ulał by pasował do tysięcy i tysięcy innych

Dalszy ciąg na str. 6

RYSZARD BINKOWSKI

CHLEBEM I SOLĄ, PO PIASTOWSKU

1.

Wszyscy czekali na ten dzień z niecierpliwością i tremą. Najbardziej przejęta para głównych bohaterów. On, niegdyś robotnik najemny w Kawęczynie, ona — również z Lubelskiego, przywędrowała tutaj jako osiemnastoletnia dziewczyna.

Starosta i starościna: Marian Bednarek oraz Kazimiera Czechowska. Bednarek został mechanizatorem w PGR Dąbrowa, przez jego ręce przeszły wszystkie typy kombajnów, toteż w ciągu dwudziestu pięciu lat pracy stał się znakomitym fachowcem. Przyszła starościna, zaczynając od sprowadzonej z Lubelskiego ojcowej krowiny, dorobiła się jednego z najlepszych gospodarstw hodowlanych w województwie, chociaż nikt jej tego nie wróżył. Mówili, że za delikatna, i wykończy się na tej gospodarce.

Twórcy barwnego widowiska, Bożena Niżańska i kierownik muzyczny, Mieczysław Krzywicki, patrzyli z niepokojem w niebo.

Na próbę generalną w dniu 6 września rozprowadzono specjalne karty wstępu, aby uniknąć ofiar z połamanymi żebrami.

No i lunęło. Kara jaka, czy co?

— Panie! Jaka kara? Tutaj od dwóch miesięcy kropla deszczu nie spadła.

— Ale gości pokropi.

— Trudno. Zresztą jutro może się wypogodzić.

W niedzielę o świcie było pogodnie. Później zaczęło padać. Pod stadion WKS „Gwardia", pilotowane

Dalszy ciąg na str. 6

HISTORIA OBYCZAJÓW XIV

ZBIGNIEW KUCHOWICZ

CHOROBA BARBARY

Po koronacji Barbara ciężko zaniemogła. Przeżycia i ceremonie stanowiły wysiłek, który przyspieszył załamanie fizyczne. Opiekujący się nią lekarze, Piotr z Poznania oraz doktorzy krakowscy, już w grudniu 1550 roku przewidywali śmierć królowej. Chora niepokojąco chudła, mimo że miała apetyt, słabła, niszczała. Na jej brzuchu pojawił się guz, stwardnienie, później w obrębie tego stwardnienia uformował się wielki naciek, wypełniony treścią płynną, nazwany przez lekarzy „spostema", a przez otoczenie wrzodem. Lekarze postanowili przeciąć ropień, nie spieszyli się jednak do zabiegu. Zdawano sobie zresztą sprawę, że zasadnicze źródło choroby znajduje się w narządzie rodnym. Barbarę nękały bóle, spalała ją gorączka, ogarnął lęk, przeczucie śmierci. W tym stanie, w lutym 1551 roku, prosiła męża, by jej ciało pogrzebał na Litwie. Nie chciała spoczywać we wrogim sobie Krakowie. Król przyrzekł wypełnić życzenie żony. Dostrzegał kryzys. 5 marca pisał zgnębiony do Mikołaja Rudego: „Jej K.M. zdrowie bardzo się zda być wątpliwe, tak jako i doktorowie rozumieją i my też baczymy". Ciężki stan fizyczny pogłębiał depresję Barbary, łatwo też ulegała rozrzewnieniu, ze wzruszeniem przyjmowała wieści z rodzinnych stron. Wydaje się, że myślami wracała do szczęśliwych dni wczesnej młodości. Baczący na reakcje żony Zygmunt August pieczołowicie chronił ją więc od silniejszych wzruszeń, m.in. zakazywał szwagrowi przyjazdu na dwór, by żal spowodowany jego odjazdem nie pogorszył stanu zdrowia chorej.

Nikłe, ściślej żadne rezultaty kuracji spowodowały, że Zygmunt August postanowił uciec się do pomocy czarownic. Decyzję tę podjął chyba w porozumieniu, może nawet z inspiracji Barbary. Pamiętajmy, że wychowała się w kręgu kulturowym uznającym moc sił tajemnych, do czarów uciekała się jej matka. Jest prawdopodobne, iż nękana lękiem śmierci chciała, czy godziła się, szukać ratunku u znachorek, z którymi stykała się od dzieciństwa. Jest stwierdzone, że nie miała zaufania do lekarzy. Frasujący się Zygmunt August pisał do szwagra: „tu będzie trzeba rady i nauki doktorów bardzo słuchać, czego J.M. nie rada czyni". Znamienne, że zwrócono się nie do licznych bab podkrakowskich, lecz do znachorek z jej rodzinnej Litwy. Nie była to także decyzja, jak chcą pewni autorzy, dyskwalifikująca zabiegi lekarskie. Ówczesna medycyna wierzyła — co wywodziło się jeszcze z poglądów starożytnych — w czary, w

Dalszy ciąg na str. 5

OD CZWARTKU DO CZWARTKU

FRANCUSKI DAR DLA ZAMKU

W imieniu Francuskiego Komitetu Odbudowy Zamku Królewskiego, jego przewodniczący Jean Paul Palewski (zarazem przewodniczący Polsko-Francuskiej sekcji Parlamentarnej Zgromadzenia Narodowego Francji), przekazał dla Zamku ponad 200 książek — starodruków oprawnych w skórę.

Są wśród nich „białe kruki" bibliofilskie: zbiór reform z Soboru Trydenckiego z 1587 r., „Tragedie" Seneki wydane w 1678 r., dzieła i listy Woltera wydane w 1785 roku, „Igrody de Lille" — pierwsze wydanie z 1782 r. Wszystkie książki wzbogacą księgozbiór Biblioteki Stanisławowskiej. Razem ze starodrukami zostały przekazane do wyposażenia Zamku unikalne przybory kominkowe, tzw. wilki czyli stojaki na szczapy drewniane oraz ażurowy ekran kominkowy.

DNI POLSKIE W HANOWERZE

Po dniach polskich w Dortmundzie i Hamburgu rozpoczęło się trzecie i ostatnie w tym roku „spotkanie z Polską" na terenie RFN — tym razem w stolicy Dolnej Saksonii — Hanowerze.

Dla Hanoweru, który gościł dotychczas Holandię, Szwajcarię i Francję, jest to pierwsze szersze zetknięcie się tego 600-tysięcznego miasta z przekrojem dorobku państwa socjalistycznego w różnych dziedzinach. Polska reprezentuje tutaj w okresie od 12 do 21 września 100 imprez, przede wszystkim kulturalnych, ale również o charakterze społecznym i sportowym.

Uroczyste otwarcie dni, nad którymi patronat objęli premier Dolnej Saksonii — Alfred Kubel oraz przewodniczący oficjalnej delegacji polskiej, minister nauki, szkolnictwa wyższego i techniki — prof. dr Sylwester Kaliski, odbyło się w piątek i uświetnione zostało galowym występem zespołu „Śląsk".

KSIĄŻKA LEMA PO FRANCUSKU

W paryskich księgarniach ukazała się, wydana nakładem wydawnictwa Calmann-Levy, książka Stanisława Lema, pt. „Pamiętnik znaleziony w wannie". Prasa bardzo pochlebnie recenzuje książkę polskiego pisarza.

SINDBAD ŻEGLARZ ZNÓW NA EKRANIE

W Toledo ekipa amerykańskich filmowców kręci kolejną wersję filmową przygód Sindbada Żeglarza. W roli bohatera filmu wystąpi syn Johna Wayne'a — Patrick Wayne. W pozostałych rolach zagra m. in. aktorka angielska Jane Seymour.

WYSTAWA J. EFFELA

W Ostrawie czynna jest wystawa prac znanego francuskiego grafika karykaturzysty Jeana Effela. Ekspozycja przedstawia rysunki, karykatury, plakaty polityczne oraz ilustracje książkowe tego wybitnego artysty, laureata Nagrody Leninowskiej.

MUZEUM DOSTOJEWSKIEGO

W 1878 roku wielki pisarz rosyjski Fiodor Dostojewski mieszkał w miejscowości Optina Pustynia koło Kaługi. Tu w małym, przyczerkiewnym hoteliku, pracował nad „Braćmi Karamazow". Władze miasta odrestaurowały dom i przywróciły mu wygląd sprzed 100 lat, tworząc w nim muzeum Dostojewskiego. W domu-muzeum Dostojewskiego wśród licznych eksponatów znajdują się karty rękopisów „Braci Karamazow" oraz listy pisane do brata.

PRZEGLĄD FILMÓW GRETY GARBO

Organizatorzy XXV Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Berlinie zachodnim postanowili urządzić pierwszą w świecie pełną retrospektywę filmów Grety Garbo. Okazją do przeglądu stała się również 70 rocznica urodzin aktorki (18.9.1905 r.). Motywując swą nagrodę jej wielkimi zasługami dla kinematografii, a także Międzynarodowym Rokiem Kobiet, C.I.D.A.L.C. nagrodził Gretę Garbo dorocznym Złotym Medalem. Poprzednio otrzymali je m. in. Charlie Chaplin i Walt Disney.

Przegląd składał się z 30 filmów fabularnych (zabrakło jednak jednego, którego kopia znalazła się zbyt późno — „Boskiej Kobiety") zrealizowanych w latach 1924—40 i cieszył się największym powodzeniem ze wszystkich imprez festiwalowych.

OGŁOSZONO TEZY NA XI ZJAZD BPK

W przygotowaniach do XI Zjazdu Bułgarskiej Partii Komunistycznej opracowano tezy nakreślające podstawowe kierunki rozwoju społeczno-gospodarczego Bułgarii na lata 1976—80, a także do 1990 r.

Jako główne zadanie strategiczne w gospodarce dokument wymienia unowocześnienie i rozbudowę zakładów produkcyjnych w nowej pięciolatce o 50—60 proc. w stosunku do bieżącej. Nastąpi dalsze wydatne usprawnienie bodźców materialnych i moralnych oraz mechanizmów zarządzania produkcją.

OD CZWARTKU DO CZWARTKU

Z NARADY AKTYWU

WARUNKI DALSZEGO PRZYSPIESZENIA

Uczyniliśmy wielki krok na drodze przekształcenia Łodzi, a także regionu, w nowoczesny ośrodek przemysłu, nauki i kultury, wypełniając z nadwyżką zadania, jakie postawiła przed nami partia. Stwierdzając to, przewodniczący obradom łódzkiego aktywu, I sekretarz KŁ PZPR — **BOLESŁAW KOPERSKI** podkreślił, że na dynamiczny rozwój całego kraju składa się i to, co zrobiliśmy w minionym 5-leciu w łódzkim województwie miejskim. Wysiłkiem klasy robotniczej, w rezultacie realizacji uchwały VI Zjazdu partii oraz wiążącego się z nim integralnie Programu Rozwoju i Modernizacji Łodzi — dokonano w tym mieście zasadniczych i korzystnych przeobrażeń w przemyśle, gospodarce komunalnej oraz w warunkach pracy i życia mieszkańców.

Łącznie na rozwój łódzkiego regionu wydatkowano w tym okresie prawie 55 mld zł. W przemyśle, dzięki nowym inwestycjom i unowocześnieniu technologii wytwarzania, produkcja wzrośnie w br. do 129 mld zł, czyli o 60 proc. w porównaniu do 1970 r. Obserwuje się pozytywne zjawisko rosnącego zaangażowania w sprawy swego terenu i gospodarki narodowej, czego dowodem mogą być także zobowiązania dodatkowej produkcji wyrobów rynkowych i na eksport. Zobowiązania te podejmowane w odpowiedzi na list Edwarda Gierka i Piotra Jaroszewicza osiągnęły wartość 1,3 mld zł, a zostały już zrealizowane w wysokości 758 mln zł. Przejawem dobrego klimatu wśród załóg i akceptacji polityki partii są wyniki 8 miesięcy br. W tym okresie przemysł wykonał 65,4 proc. planu rocznego. Dobra praca partyjna w szeregu zakładów, poprawa organizacji pracy i wzrost odpowiedzialności sprawiły, że ich załogi kończą już wykonywanie dodatkowych zadań, podjętych na rok bieżący i meldują o nowych zobowiązaniach — dla uczczenia VII Zjazdu PZPR.

Przemiany w przemyśle przyniosły znaczną poprawę warunków pracy, odpowiadających współczesnym standardom. Stworzono je już ponad połowie załóg przemysłowych. Dużym społecznie osiągnięciem są coraz lepsze wyniki pracy naszego budownictwa — efektem tego jest zasadnicza poprawa warunków mieszkaniowych dla 54,5 tys. rodzin, którym w bież. 5-leciu przekaże się łącznie 178 tys. izb. Niemały dorobek prezentuje rolnictwo województwa miejskiego, które plony z 4 zbóż zwiększyło w tym samym okresie o 45,5 proc. Nadal jednak niezbędny jest w tym dziale gospodarki szybki przyrost produkcji zwierzęcej i mleka, opanowanie bardziej intensywnych metod gospodarowania.

Treści zawarte w wytycznych na VII Zjazd partii oraz przemówienie I sekretarza KŁ stały się następnie punktem wyjścia do dyskusji. Zabierało w niej głos 16 mówców: **Adam Walczak, Urszula Płażewska, Kazimiera Grzegorczyk, Zdzisław Nowakowski, Stefan Bojara, Marian Kujawa, Jerzy Lorens, Jan Pakuła, Stanisław Kuszewski, Józefa Wójcik, Eugeniusz Żyszkiewicz, Stanisław Łęczewski, Anna Mroczkowska, Józef Duraj, Tadeusz Podwysocki i Jerzy Szymczak.** Dyskutanci poruszali wiele problemów, związanych z realizacją zadań produkcyjnych, bardziej efektywnym gospodarowaniem, pracą wewnątrzpartyjną i ideowo-polityczną wśród załóg. Podkreślano, że zakładowe organizacje partyjne mają wiele do powiedzenia w kształtowaniu właściwych stosunków międzyludzkich w miejscu pracy, wzbogacaniu treści zebrań partyjnych, w aktywizowaniu młodzieży. Dyskusja ujawniła, że znaczny dorobek mają na swym koncie organizacje partyjne w miastach łódzkiego województwa miejskiego.

Inspirują one i pobudzają inicjatywy, zmierzające do korzystnych przeobrażeń w warunkach życia mieszkańców, podnoszeniu estetyki, rozbudowy gospodarki komunalnej, placówek służby zdrowia itp. Dyskutanci zgłaszali również propozycje w zakresie doskonalenia stylu i organizacji pracy, np. w budownictwie (poprzez specjalizację przedsiębiorstw i unowocześnienie zaplecza technicznego oraz rejonizację przedsiębiorstw).

Na zakończenie obrad **B. Koperski** poinformował, że w najbliższym czasie odbędą się przedzjazdowe narady w komitetach miejskich i gminnych, a począwszy od 20 bm. spotkania środowiskowe. Łódzkie województwo miejskie reprezentowane będzie przez 84 delegatów, wśród których 19 wybranych zostanie w największych zakładach regionu. W listopadzie odbędzie się łódzka konferencja partyjna, która oprócz delegatów na zjazd wybierze także nowe władze partyjne województwa.

TELEWIZJA

Czwartek, 18.IX — program I:

18.35 „BESKIDZIE, BESKIDZIE, KTO PO TOBIE IDZIE..." — to film dokumentalny Witolda Żukowskiego o rozwijaniu wrażliwości muzycznej u dziecka, inspirowanej przez elementy ludowej muzyki.

20.25 „ASFALTOWA DŻUNGLA" — film kryminalny w reżyserii Johna Hustona nie był dotąd nigdy u nas pokazywany na wielkim i małym ekranie. Warto go dostrzec w telekimie, choćby z uwagi na osobę reżysera, twórcę wielu głośnych dzieł filmowych.

22.10 PEGAZ — temat wydania: rola awangardy w polskiej muzyce współczesnej i jej międzynarodowe znaczenie.

Program II:

20.40 „Z twórczości kompozytorów rosyjskich i radzieckich". W znanym cyklu obejrzymy program widowiskowo-muzyczny, na który złożą się fragmenty utworów Modesta P. Musorgskiego, z komentarzem Mieczysława Worta. Reżyseruje Ryszard Ray-Zawadzki.

Piątek, 19.IX — program I:

18.50 WODA, zapotrzebowanie na nią, kierunki działania — by jej starczyło dla wszystkich użytkowników — to główny temat EUREKI, z udziałem wybitnych specjalistów (kolor).

20.20 Polecamy uwadze specjalne wydanie Konsylium — GRZYBOBRANIE.

20.30 Śpiewa Jean Baes — recital amerykańskiej piosenkarki, występującej przed pięciu laty w sopockim festiwalu.

Program II:

20.40 W cyklu: „Człowiek i jego środowisko" — program studyjno-filmowy z udziałem doc. Kazimierza Dobrowolskiego. Projekcja filmu CSRS „ZIEMIA ODDYCHA" (kolor).

Sobota, 20.IX — program I:

18.25 „POLSKIE SKRZYDŁA" — tak zapowiedziany teleturniej zapewne zgromadzi przy telewizorach miłośników lotnictwa i szybownictwa.

20.20 Telekino w sobotni wieczór zaprasza na francuski melodramat pt. „ZŁOTY KASK" z Simone Signoret i Sergem Reggiani.

23.25 „NATALIA" — to tytuł drugiej opowieści narratora — Jeremiego Przybory o przygodzie z piękną Natalią. Oglądamy więc „OPOWIEŚCI STARSZEGO PANA" z udziałem Haliny Kowalskiej.

Program II:

16.35 W cyklu „Filmy Jana Rybkowskiego" wyświetlony zostanie dramat wojenny „GODZINY NADZIEI". W rolach głównych: Jadwiga Chojnacka, Stanisław Mikulski, Zofia Mrozowska i Bronisław Pawlik.

20.20 i 21.25 Transmisja z sali Filharmonii Narodowej w Warszawie z koncertu inaugurującego Festiwal Muzyki Współczesnej — „WARSZAWSKA JESIEŃ — 75".

Niedziela, 21.IX — program I:

10.45 Zwolennicy „Starego Kina" obejrzą głośną komedię węgierską z 1931 roku „LOKAJ HIPOLIT" w reżyserii Istvana Szekely.

14.05, 18.00, 19.10 BANK MIAST trzykrotnie pojawi się w niedzielnym programie. Z zadeklarowanych wcześniej zobowiązań rozliczą się: GOLENIÓW i ŻAGAŃ.

16.30 Miłośnicy emocji żużlowych, w bloku sportowym śledzić będą finał drużynowych Mistrzostw Świata na żużlu w Norden.

20.30 Polecamy uwadze nowy cykl telekina: „Filmy z Lubow Orłową". Jako pierwsza — słynna komedia z lat 30 „ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE" w reżyserii Grzegorza Aleksandrowa.

Program II:

18.15 W bloku sportowym — kolarstwo, transmisja z zakończenia XXXII Wyścigu Kolarskiego dookoła Polski.

20.20 Scena Monodram wystawi telewizyjną adaptację opowiadania Marii Kuncewiczowej „Plączą się czasy, miejsca, nagrody, klęski". W roli narratorki — Halina Słojewska. Reżyseruje Kazimierz Łastawiecki.

Poniedziałek, 22.IX — program I:

20.20 Teatr TV z Wrocławia zaprasza na wznowienie dwóch humoresek Antoniego Czechowa „OŚWIADCZYNY" i „JUBILEUSZ" w reżyserii Jerzego Antczaka. Świetne kreacje Tadeusza Fijewskiego, Mieczysława Pawlikowskiego, Wandy Łuczyckiej i Jadwigi Barańskiej.

Program II:

21.30 Telekino wyświetli „BALLADĘ O WÓJTOWEJ MARYNIE" dramat obyczajowy prod. CSRS, według Kazimierza Przerwy-Tetmajera.

Wtorek, 23.IX — program I:

18.50 „Czy państwo wierzą w Marsjan?" — to nieco prowokujące pytanie zadaje Wanda Konarzewska w programie z cyklu „Fakty — opinie — hipotezy".

Program II:

21.30 Teatr TV z Wrocławia zaprasza na premierę dramatu Henryka Ibsena „PEER GYNT" w reżyserii Henryka Tomaszewskiego. Będzie to przeniesienie na małą scenę tv przedstawienia Teatru im. K. C. Norwida w Jeleniej Górze.

Środa, 24.IX — program I:

20.20 TV Kino Interesujących Filmów zaprasza na norweski dramat społeczno-obyczajowy pt. „MAŁŻEŃSTWO NIEDOSKONAŁE". Aksel i Merit, młode małżeństwo rozpoczyna wspólne życie, które jest zarazem adaptacją do warunków życia w dużym mieście. Film reżyseruje Terje Mearli. Radzimy go obejrzeć.

Program II:

21.35 W widowiskowo-muzycznym cyklu: „POLSKA PIEŚŃ ŻOŁNIERSKA" — Mirosław Szonert przedstawi inscenizowany program pt. „Idzie żołnierz borem, lasem...". Tym razem dominuje w nim dawna pieśń rycerska. Wystąpią aktorzy scen łódzkich.

PLASTYKA

MIĘDZYNARODOWE TRIENNALE TKANINY

I Międzynarodowe Triennale Tkaniny, którego otwarcie nastąpi 22 października br. w salach Muzeum Historii Włókiennictwa zapowiada się niezwykle interesująco. Wiele spośród zgłoszonych prac, zarówno krajowych jak i zagranicznych twórców, stoi na najwyższym poziomie artystycznym. Międzynarodowe jury dokona niebawem podziału nagród ufundowanych przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, Ministerstwo Przemysłu Lekkiego, Zarząd Główny Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Skórzanego i Odzieżowego oraz Urząd Miasta Łodzi. Ponadto Zarząd Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków ufundował medale dla autorów najwybitniejszych tkanin unikatowych i przemysłowych. Na Triennale zgłosiło swój przyjazd do chwili obecnej 30 autorów — historyków sztuki z zagranicy. W czasie trwania Triennale organizatorzy przewidzieli szereg imprez towarzyszących, m.in. otwarte zostaną ekspozycje: wystawa gobelinów H. i S. Gałkowskich, wystawa rzeźby Anny Dębskiej, wystawa ekslibrisu z Malborka. Dla gości zagranicznych planuje się wycieczki do zakładów pracy, m.in. do Fabryki Dywanów „Dywilan" i do zamku w Oporowie na uroczysty koncert przy świecach.

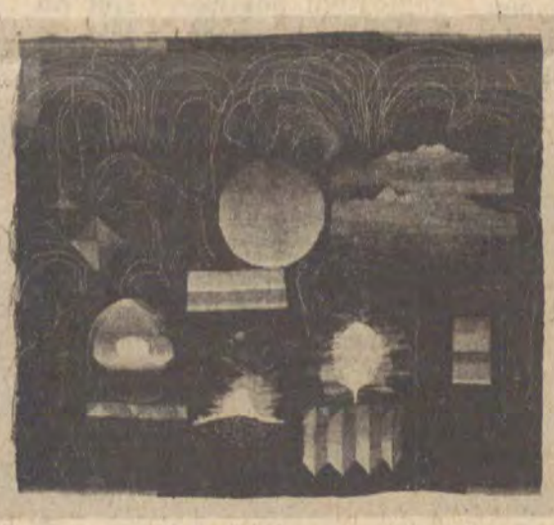

ZSRR Edita Vignere „Lejmus" gobelin

W skład Komitetu Organizacyjnego Międzynarodowego Triennale Tkaniny wchodzą: Władysław Bojkow — przewodniczący Komitetu Organizacyjnego — ZPAP, Jerzy Frątczak — komisarz Triennale — ZPAP, Zdzisław Baranowski — Zakłady Artystyczne „Art" w Łodzi, Stanisław Cuchra-Cukrowski — ZPAP, Wiesław Garboliński — ZPAP, Karol Grabowski — ZG ZZ Prac. Przem. Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego, Bernard Kepler — BWA, Krystyna Kondratiuk — Muzeum Historii Włókiennictwa, Adam Nahlik — ZPAP, Henryk Pawlak — „Głos Robotniczy", Janina Pierzgalska — ZPAP, Włodzimierz Pospiech — Wydział Kultury i Sztuki Urzędu m. Łodzi, Konstanty Węgrzyn — Ministerstwo Kultury i Sztuki, Bogusław Wyszogrodzki — Ministerstwo Przemysłu Lekkiego.

KRONIKA PLASTYCZNA

W dniu 4 bm. zostały wręczone członkom Okręgu Łódzkiego Związku Polskich Artystów Plastyków odznaczenia państwowe. Otrzymali je: Feliks Turski, Feliks Paszkowski, Eugeniusz Zduniewski — Krzyże Kawalerskie Orderu Odrodzenia Polski oraz Alfred Wątorowski — Złoty Krzyż Zasługi.

FELIKS TURSKI (ur. 1892 r.) jest członkiem ZPAP od 1945 roku. Przez cały czas swojej 30-letniej przynależności do Związku bierze czynny udział w życiu artystycznym. Wystawia swoje prace na pokazach ogólnopolskich i okręgowych. Pełni również liczne i odpowiedzialne funkcje w ZPAP. (Był przewodniczącym Sądu Koleżeńskiego, skarbnikiem Zarządu Głównego ZPAP, a obecnie piastuje funkcję przewodniczącego Głównej Komisji Rewizyjnej).

FELIKS PASZKOWSKI (ur. w 1904 r.) jest członkiem Związku Polskich Artystów Plastyków od 1945 roku. Zajmuje się malarstwem sztalugowym i sztuką użytkową. Bierze czynny udział w życiu artystycznym Okręgu, jest współorganizatorem wielu akcji społecznych, m.in. akcji wystaw malarskich w zakładach pracy.

Artysta grafik, EUGENIUSZ ZDUNIEWSKI (ur. w 1919 r.) jest członkiem ZPAP od 1950 roku. Był kierownikiem artystycznym i współtwórcą ludowej szkoły ceramicznej w Strumieniu i spółdzielni pracy „Koronka" w Koniakowie. Pełnił kolejno funkcje kierownika artystycznego i dyrektora naczelnego Spółdzielni Wydawniczej „Książka". Przez lata związany był z „Cepelią" w Łodzi. Brał udział w licznych wystawach ogólnopolskich i okręgowych.

Artysta grafik, ALFRED WĄTOROWSKI (ur. w 1922 r.), członek Związku od 1957 roku jest autorem wielu projektów opraw plastycznych uroczystości państwowych, organizowanych w Łodzi, Piotrkowie, Zgierzu, Polichnie oraz projektów wystaw okolicznościowych i konferencji partyjnych. Jest aktywnym działaczem ZPAP, członkiem Komisji Oświaty i Kultury KW PZPR, członkiem Komisji Plastycznej WRN w Łodzi.

A.G.

POŻEGNANIE VIDOCQA

Po trzynastu tygodniach pożegnaliśmy ostatniej niedzieli François Vidocqa. Tym razem trzynastka nie przyniosła realizatorom szczęścia — wyraźnie gonili już w piętkę.

O twórcy francuskiej policji Sûreté nakręcono już jeden serial, który telewizja prezentowała przed paru laty. Ten, który oglądaliśmy obecnie, był na pewno dowcipniejszy, ale też chyba nie wykorzystano wszystkich możliwości, jakie tkwiły w życiorysie tej barwnej postaci.

Eugeniusz Franciszek Vidocq, syn piekarza z Arras, tak został scharakteryzowany przez autora książki „Stulecie detektywów", Jürgensa Thorwalda: „przedsiębiorca widowiskowy, żołnierz, marynarz, aktor w teatrze marionetek, więziony za pobicie oficera (który uwiódł jedną z jego kochanek), uciekinier z więzienia. Raz wymknął się w skradzionym mundurze żandarma, innym razem rzucił się z zawrotnej wysokości z wieży więziennej w płynącą na dole rzekę. Za każdym razem na nowo schwytany, został w końcu skazany na ciężkie roboty na galerach i przykuty do łańcucha. Całe lata żył w kaźni, ramię w ramię z najstraszniejszymi zbrodniarzami owych czasów, między innymi z członkami osławionego rodu morderców Corun, w którym już dzieci zaprawiano do mordów i — dla przyzwyczajenia — dawano im do zabawy ludzkie czaszki. W roku 1799 udała mu się trzecia — tym razem pozornie ostateczna ucieczka. Przez dziesięć lat mieszkał w Paryżu jako handlarz ubrań. Ale przez tych dziesięć lat byli współwięźniowie grozili mu ustawicznie, aż w końcu przejęty wstrętem i nienawiścią do dawnych towarzyszy, uczynił decydujący krok — zgłosił się w prefekturze policji w Paryżu i zaoferował władzom policyjnym swoje usługi oraz podczas tylu lat zdobytą znajomość świata przestępców, jeśli mu oszczędzą więzienia..."

No i pokazał, co potrafi, realizując wymyśloną przez siebie zasadę, że tylko zbrodniarze mogą zwalczać zbrodnię. W ciągu jednego tylko roku Vidocq wspólnie ze swymi współpracownikami z kryminalną przeszłością (było ich wówczas tylko dwunastu) ujął 812 morderców, włamywaczy i oszustów.

W momencie, kiedy kończy się serial, przed Vidocqiem była jeszcze dalsza kariera. Ustąpił bowiem z Sûreté dopiero w roku 1833, zakładając pierwszą bodaj na świecie prywatną agencję detektywistyczną. Zmarł w roku 1857 jako człowiek bardzo zamożny oraz dostarczyciel pomysłów do powieści wielkiego francuskiego pisarza, Honoriusza Balzaca.

Lecz chociaż Franciszek Vidocq odszedł z Sûreté, następni szefowie policji przejęli po nim metody penetracji środowisk przestępczych — nie przestali zatrudniać i opłacać sporej, co więcej, stale rosnącej liczby recydywistów w charakterze współpracowników policji. Sûreté przetrwała cztery przewroty polityczne we Francji — od Napoleona do Bourbona, od Bourbona do monarchii Ludwika Filipa Orleańskiego, następnie do Cesarstwa Napoleona III i do Trzeciej Republiki.

Prywatne archiwum Vidocqa rozrosło się w olbrzymi aparat — każdy przestępca miał tu swoją kartotekę, której ilość wzrosła aż do pięciu milionów pozycji.

Zważywszy, że okres działania Vidocqa jako szefa prywatnej agencji detektywistycznej także z pewnością obfituje w historie ciekawe — możemy mieć nadzieję, że francuscy filmowcy nie prędko zrezygnują z eksploatowania życiorysu tej barwnej postaci awanturnika i galernika, który stworzył francuską policję. Tak więc pożegnanie z Vidocqiem nie jest zapewne pożegnaniem na zawsze.

ZASTĘPCA

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, JAN JANICKI (redaktor techniczny) WIESŁAW JAZDZYNSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMANSKI (zastępca sekretarza redakcji).

Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, ANDRZEJ GRUN, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, BERNARD SZTAJNERT.

FILM

Gdańsk we wrześniu upalny. Morze niby blisko, ale widziałem je tylko raz z kurhanu-pomnika na Westerplatte, gdzie składaliśmy wieńce i kwiaty w rocznicę wojny. W salach projekcyjnych raz chłodniej, raz cieplej, bo temperatura filmów różna. Na Forum filmowców gorąco, bo dyskutanci z ognistym temperamentem. I tak te wahania temperatury, jak barometr określały atmosferę, dzień po dniu, cały długi filmowy tydzień — II FESTIWALU FILMU FABULARNEGO W GDAŃSKU.

JERZY WAWRZAK

DŁUGI TYDZIEŃ filmu polskiego

Historia Festiwalu jest formalnie krótka, ale w znacznej części przejął on tradycje konkursowych przeglądów Łagowa z lat ubiegłych. Na potrzebę jego powstania wskazywało od dawnana Stowarzyszenie Filmowców Polskich, Naczelny Zarząd Kinematografii, Klub Krytyki Filmowej SDP, redakcje poszczególnych pism filmowych. Zresztą festiwale filmowe odbywają się już w Bułgarii, Czechosłowacji, Jugosławii, Węgrzech i Związku Radzieckim. Jakie cele przyświecają gdańskiej imprezie?

„Chcemy, aby Festiwal w Gdańsku — powiedział **Henryk Zieliński**, dyrektor Festiwalu — stał się kompetentnym forum dla rozważań programowych, ocen wartości ideowych i artystycznych polskiej kinematografii... chcemy, aby rezultaty tych dyskusji i spotkań przede wszystkim z załogami robotniczymi i młodzieżą stały się inspiracją dla nowych dokonań, aby służyły odzyskaniu zaufania polskiej widowni kinowej... i wreszcie, co nie mniej ważne — by jury festiwalowe, złożone z przedstawicieli środowisk twórczych dokonało ocen ważnych, a nie zawsze docenianych dziedzin twórczości w sztuce filmowej, jak praca scenarzysty, kompozytora, dźwiękowca, operatora, scenografa, nie mówiąc już o aktorach".

Ten przydługi cytat wydawał mi się konieczny, bo jest moim zamiarem dokonać osobistej konfrontacji zamierzeń organizatorów z osiągniętymi efektami. Osobistej, a więc subiektywnej i niech mi to z góry będzie wybaczone, jako że są to uwagi pisarza-dyletanta, a nie wytrawnego rzeczoznawcy od spraw filmowych.

Zacznijmy jednak od obowiązków sprawozdawcy wobec Czytelników, bo i ten cel przyświecał mojej ekskursji do Gdańska.

Wpierw **koncepcja** Festiwalu i **program**, w którym została zamknięta. Punktem wyjścia była w tym wypadku ocena całorocznej produkcji filmowej i formowanie prognoz przyszłościowych. Z drugiej zaś strony trójstronna konfrontacja twórców, krytyków i widzów. Tak więc program z kolei przewidywał projekcje 24 filmów kinowych i telewizyjnych, 3-krotne Forum Stowarzyszenia Filmowców Polskich z udziałem zaproszonych gości oraz dziesiątki prezentacji i spotkań z widzami zakładów pracy województwa gdańskiego. Była to więc impreza zaplanowana i zrealizowana z rzadko spotykanym rozmachem. Nie sposób jej zrelacjonować w całości, nawet najwytrwalsi nie byli w stanie wszystkiego przełknąć. Sam czas projekcji pozycji zgłoszonych do konkursu wynosił około 40 godzin. Osobiście kilka filmów widziałem wcześniej i w ten sposób udało mi się w znośnej formie dotrwać do końca.

Wszelkie uwagi na temat festiwali wypada rozpocząć od

OCENY PRODUKCJI FILMOWEJ OSTATNIEGO ROKU.

Znane są wyroki sądu konkursowego pod przewodnictwem Jerzego Hoffmana, ale nie w tym rzecz, nie można się oprzeć pokusie komentarza. Główne nagrody „Lwy Gdańskie" przyznano filmom, które w pewnym sensie były poza konkurencją. **„Ziemia obiecana" Andrzeja Wajdy** znacznie wcześniej wywołała eksplozję entuzjazmu krytyki i aprobatę widowni oraz laury zagraniczne. Po raz pierwszy pokazane **„Noce i dnie" Jerzego Antczaka**, oczekiwane z ogromnym zainteresowaniem jako największe przedsięwzięcie polskiej kinematografii, spełniły te oczekiwania całkowicie. Oczywiście, nic nie jest doskonałe, ale Antczak zrobił film bardzo piękny, z artystycznym kunsztem, wiernością dla realiów epoki, złożył swym talentem filmowca rodzaj wielkiego hołdu dla talentu pisarskiego **Marii Dąbrowskiej**. Autorowi filmu udało się w wersji kinowej (4,5 godziny projekcji) stworzyć z epopei Dąbrowskiej opowieść jasną i logiczną, utrzymaną w rytmie prozy pozornie tak afilmowej, przepojoną głębią psychologicznej prawdy o bohaterach minionej epoki, ale bliskich nam przez uczucia zawsze żywe. W wersji telewizyjnej otrzymamy w przyszłości relację pełniejszą, zakrojoną na 13 odcinków jednogodzinnych. Jednym słowem: sukces reżysera, aktorów (również nagrody jury dla Jadwigi Barańskiej i Jerzego Bińczyckiego) i całej naszej kinematografii. („Potopem", „Nocami"... udowodniliśmy, że potrafimy realizować supergiganty konkurencyjne w świecie).

Pozostałe nagrody jury są już sprawą dyskusyjną. Na pewno w pełni zasłużył na Pierwszą Nagrodę Główną film **Stanisława Różewicza „Opadły liście z drzew"** (na motywach opowiadań Tadeusza Różewicza) za bardzo prostą, a serdeczną relację o okupacyjnej codzienności i prozie partyzanckiego żywota, utrzymany w tonacji nie mającej nic z patosu tamtych czasów. Już jednak wyróżnienie Drugą Nagrodą Główną **„Awansu" Janusza Zaorskiego** (wg Edwarda Redlińskiego) wzbudza opory. W filmie, któremu patronuje kapitalny pomysł scenarzysty, po świetnym prologu, zabrakło reżyserowi umiaru, taktu i subtelności tak potrzebnej, kiedy rzeczywistości nadaje się groteskowy wymiar. Nagrodę Specjalną Jury otrzymał film telewizyjny **Gerarda Zalewskiego „Dom moich synów"**, (pokazywany niedawno na ekranach TV), podejmujący problem społecznie ważny, ze świetnym aktorstwem **Zofii Jaroszewskiej**. Moim zdaniem nie ustępowały mu **„Wyjazd służbowy"** i **„Koniec babiego lata"** (pierwszy wyróżniony za znakomity scenariusz **Zbigniewa Kubikowskiego**, drugi za ciekawą rolę **Krzysztofa Majchrzaka**).

Cóż, dyskutowanie z werdyktami jurorów jest jałowe. W składzie znaleźli się ludzie kompetentni, a gusty i upodobania piszącego te słowa są raczej jego prywatną sprawą. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na dobrą wolę jurorów, którzy w większości filmów konkursowych dostrzegli elementy pozytywne, wyróżniając np. **Bogdana Dziworskiego** za znakomite zdjęcia do filmu „Wieczne pretensje", **Wojciecha Kilara** za muzykę do czterech(!) filmów, scenografie **Tadeusza Kosarewicza**, scenariusz **Zbigniewa Safiana**, czy aktorstwo **Mai Komorowskiej** (w Bilansie kwartalnym"), **Wojciecha Pszoniaka** i **Romana Wilhelmiego** w bardzo chwalonym w kuluarach filmie **Janusza Majewskiego „Zaklęte rewiry"**.

Wspomnieć by wypadało o filmach, które nie zdobyły lauru, wcale nie gorszych od nagrodzonych, wzbudzających spore kontrowersje, co raczej podnosi ich range. **„Znikąd do nikąd" Kazimierza Kutza**, film zrobiony z reżyserską maestrią w oparciu o błędny w sensie historycznym i miałki artystycznie scenariusz. (Drugi film K. Kutza „Linia" pokazywany był w sekcji informacyjnej). Chciałoby się także dopomnieć o film **Pawła Komorowskiego „Czerwone i białe"** (wg powieści **Jana Pierzchały „Krzak gorejący"**), w którym reżyser sięgnął po temat ambitny i reżysersko trudny, pokazując w retrospektywnym skrócie całą niemal epokę walki polskich komunistów.

Wreszcie trzeba powiedzieć kilka słów o filmie **Grzegorza Królikiewicza „Wieczne pretensje"**, który zdobył nagrodę dziennikarzy akredytowanych przy festiwalu. Film zdążył już wywołać sporo sprzecznych opinii i ujawnić namiętności. Podczas projekcji na festiwalu wywołał najżywszą przychylną reakcję widowni. Z kina festiwalowego „Leningrad" publiczność „normalna" co prawda wychodziła, co wcale o filmie... źle nie świadczy. Musimy sobie bowiem uzmysłowić, że Królikiewicz swoim rozumieniem sztuki filmowej odchodzi od koncepcji kina popularnego, jest umysłowością niespokojną, poszukującą nowych rozwiązań estetycznych, które by — w jego mniemaniu — najpełniej odzwierciedlały lęki, nadzieje, tęsknoty, słabości i witalność współczesnej nam rzeczywistości. Królikiewicz nie ilustruje więc znanych prawd, nie powiela szablonów stworzonych przez literackie wzorce, lecz na odwrót — tworzy własną rzeczywistość filmową, w której przez zbiór nie uporządkowanych sygnałów chce dotrzeć do głębszych pokładów naszej wrażliwości. Czy tędy droga do kina przyszłości? Może tak, może nie. Dajmy sobie spokój z receptami i dobrymi radami. Tylko naturalny rozwój każdego prawdziwego artysty prowadzi go do formy, w której wypowiada się najpełniej. Królikiewicz zajmuje dziś w polskim filmie pozycję, którą kiedyś w naszej literaturze zajmował Leopold Buczkowski. Czas zresztą pokaże...

I dwa słowa **o debiutach**. Niestety, nic dobrego nie można powiedzieć. Owszem, duża sprawność, widać, że ci młodzi ludzie nauczyli się posługiwać kamerą, ale jeszcze przy tym nie nauczyli się myśleć. Przynajmniej w sposób dostatecznie klarowny, aby zrozumieć ich rzeczywiste intencje. Próg debiutu jest wysoki, trudności duże, ale czy to wszystko wyjaśnia? Słusznie zatem młodym realizatorom poświęcano wiele uwagi na

TRZYDNIOWYM FORUM STOWARZYSZENIA FILMOWCÓW,

które stało się rzeczywistym miejscem szczerej i zatroskanej o przyszłość polskiej kinematografii dyskusji, polemik i propozycji. Także nie sposób streścić choćby najzwięźlej poszczególnych problemów, które nieraz obszernie podjęto. Bo przecież było to i miejsce do wygłaszania szczegółowych opinii o obejrzanych filmach, jak i wystąpień mających ambicje formułowania ocen sumujących czy wygłaszania prognoz na przyszłość.

Unikając spraw ściśle wewnątrzśrodowiskowych, chciałbym ujawnić z tej dyskusji to, co nas wszystkich jako odbiorców sztuki filmowej interesuje. Przede wszystkim nie sposób zgodzić się z tak krytyczną czy nawet pesymistyczną oceną aktualnej produkcji filmowej, jaka miała miejsce na Forum. Wspominając o werdyktach Jury nie podkreśliłem faktu, że w moim odczuciu były to trudności wyboru kilku pozycji z kilkudziesięciu. To, że było z czego wybierać, przy stosunkowo niewielkiej produkcji naszej kinematografii (ok. 25 filmów rocznie) świadczy, że nie jest tak źle. Tak samo publiczność, wbrew niektórym demagogicznym stwierdzeniom, nie odwraca się od tych filmów. Podane przez jednego z dyskutantów liczby świadczą o czymś wprost przeciwnym. A musimy przy tym podkreślić, że filmy zagraniczne prezentowane na naszych ekranach, to pozycje wyselekcjonowane najlepsze, jakie są na światowym rynku. Idąc do kina konfrontujemy więc czołówkę europejską i światową z c a ł ą naszą, bieżącą produkcją, która nie może (a chyba nie musi) sypać non-stop arcydziełami.

Dyskusje na Forum, jak i same projekcje były formalnie ukierunkowane tematycznie. Pokazywano najpierw blok filmów poświęconych wojnie, następnie filmy o współczesności, wreszcie filmy historyczne czy te określane słówkiem robiącym dziwną karierę: **retro. Słusznie, najsłuszniej, problematyka filmów współczesnych znalazła największą liczbę orędowników.** Generalnie, mimo tych czy innych pojedynczych dokonań, oceniono obecny stan rzeczy jako nie odpowiadający żadnej proporcji zapotrzebowaniu społecznemu. Za ten stan rzeczy obwiniano wszystkich, dociekano przyczyn istotnych i czasami urojonych, proponowano rozwiązania słuszne, ale często nierealne. Największe sympatie wzbudził we mnie ów ton samokrytycznego niezadowolenia, dostrzeganie niemocy w pokonywaniu rzeczywistych przeszkód zewnętrznych, a przede wszystkim własnej niewiary i obawy przed ryzykiem i trudnościami Sam w swojej pisarskiej robocie zajmuję się wyłącznie tematem współczesnym, wiem jak to trudne poletko do uprawy, ale z możliwościami i przyszłością. Ryzyko autora, w tym wypadku scenarzysty i reżysera filmu, tkwi głównie w bezwzględnej konfrontacji z doświadczeniem odbiorcy, widza, którego doświadczenie polityczne, głębokie zakorzenienie w rzeczywistości społecznej, nie jest mniejsze, lecz większe, niż realizatora współczesnego tematu. Czy jednak bać się tego zderzenia? Czy podejmować „tematy zastępcze", jak to określił K. T. Toeplitz. Jak w tej sytuacji rozumieć wypowiedź Andrzeja Wajdy, który tak-że nawoływał do podejmowania... tematu współczesnego? Pociesza tylko obietnica, że w przyszłości chce taki temat podjąć.

W tym momencie aż nie wypada pospierać się z kilkoma dyskutantami i wypowiedziami na łamach „Gazety Festiwalowej" (n. b. sprawnie i świetnie redagowanej). Otóż niektórzy dokonując w zasadzie słusznego podziału na filmy telewizyjne i kinowe, podkreślając odmienność ich funkcji i różnice artystycznych możliwości, zwalniają niejako filmy przeznaczone dla kin — to już moja sugestia — od obowiązku, który spełniają filmy telewizyjne, a jest nim przecież głównie zaangażowanie w problematykę współczesną. Podział taki jest logiczny, wydaje się słuszny, ale jak znam życie, w praktycznej realizacji niebezpieczny. Telewizyjna „doraźność" i kinowa „ponadczasowość" filmów to sztuczna antynomia, teza wątpliwa z wielu punktów widzenia.

Na Forum zajmowano się również **adaptacjami literatury**, to znaczy taki temat organizatorzy próbowali zasugerować uczestnikom. Nic z tego jednak nie wyszło, m. in. dlatego, że wprowadzający referat dotyczył wyłącznie adaptacji klasyki. Klasycy w grobie, ich obrońców uważa się za nieszkodliwych maniaków. Nie ma sprawy w tym kontekście. Jest natomiast sprawa współuczestnictwa pisarzy żyjących i chcących wypowiadać się poprzez obraz. (Nie tylko ich, bo również artystów-plastyków, muzyków, co słusznie podkreślił **prezes SFP Jerzy Kawalerowicz**, sugerując jednocześnie przekształcenie festiwalu w imprezę o charakterze bardziej ogólnoartystycznym. Na Forum ten problem nie znalazł większego zrozumienia. A przecież oględnie mówiąc, większość (praktycznie 80—90 proc.) filmów powstaje z adaptacji dzieł literackich i oryginalnych scenariuszy stworzonych przez pisarzy. Z niewielką zaś przesadą można powiedzieć, że bez polskiej literatury nasz film nie mógłby ani powstać, ani istnieć naprawdę. Sądzę, że aktualnie i w przyszłości ten współudział (współudział, a nie usługowa rola), mógłby być i większy i autentyczny pod warunkiem, że człowiek pióra uzyska odpowiednią satysfakcję moralną za swój intelekt, wyobraźnię, doświadczenie. Nie mam pojęcia, jak to zagwarantować, jakie warunki są ku temu potrzebne, zgłaszam po prostu postulat pod adresem animatorów naszej kinematografii. Podkreślam jeszcze raz, satysfakcja moralna, każda inna to już rzecz drugorzędna.

Nie starcza miejsca, więc już w telegraficznym skrócie o

IMPREZACH TOWARZYSZĄCYCH II FESTIWALOWI

Imprezy te lepiej zostały pomyślane niż zrealizowane. Wydawać się mogło, że cykl filmów **„Sztuka operatorska Jerzego Wójcika"** („Eroica", „Popiół i diament", „Nikt nie woła", „Matka Joanna od Aniołów", „Faraon", „Westerplatte" „Potop") oraz **„Kobieta w filmie polskim"** („Ostatni etap", „Pociąg", „Ich dzień powszedni", „Wiano", „Trzeba zabić tę miłość", „Ostatni dzień lata", „Jak być kochaną", „Pasażerka", „Polowanie na muchy") wywołują duże zainteresowanie. Niestety, tak nie było. W kinie „Warta", gdzie odbywał się przegląd „Kobieta w filmie polskim" frekwencja wynosiła od 13, 25, 33, 70 do 117 osób na seansie. Na „Popiele i diamencie" też było kilkanaście osób. Kto zawinił? Brak reklamy? Termin festiwalu wykluczający z udziału brać studencka? Na szczęście lepsza była frekwencja w kinach prezentujących nowości festiwalowe. Udały się także spotkania z realizatorami filmów. Wracali obdarowani kwiatami, drobnymi upominkami, umęczeni, bo zawsze o późnej porze, ale zadowoleni ze szczerych rozmów z widzami. Potwierdzić to mogę osobiście, gdyż brałem udział w udanym spotkaniu z przedstawicielami załogi Stoczni Gdańskiej.

W ramach II Festiwalu odbył się również **Przegląd Filmów Krajów Nadbałtyckich**. Była to okazja do obejrzenia kilku ciekawych filmów i duże przeżycie dla tych, którzy dopiero w Gdańsku (ja przegapiłem w Moskwie i w Łodzi) zobaczyli **„Czerwoną kalinę"** Wasilija Szukszyna. Nie chciałbym temu filmowi wystawiać cenzurki, zdawkowo chwalić. Z obowiązku sprawozdawcy powiem tylko, że był wspaniale przyjęty. Nie mógł być przyjęty inaczej, bo w wypadku „Czerwonej kaliny" mamy do czynienia z rzadkim fenomenem wszechstronności człowieka, który tak doskonale wypowiedział się jako pisarz, aktor i reżyser.

Przegląd Filmów Krajów Nadbałtyckich to jakby wstęp do uczynienia gdańskiego Festiwalu impreza filmową o charakterze międzynarodowym. Sądzę, że nie są to ambicje przesadne, że zarówno ranga naszej kinematografii, jak i możliwości organizacyjne gwarantują powodzenie takim zamiarom.

NIE TYLKO HISTORIA

HEROLD REAKCJI

Od pewnego czasu można zaobserwować, że nasi historycy literatury — a także nie tylko oni — zaczynają się interesować pisarzami drugiego i trzeciego rzędu, którzy kiedyś zaznaczyli się w literaturze, a potem zostali niemal zupełnie zapomnieni. Może to i dobrze, bowiem dzięki takim badaniom zyskamy lepsze rozeznanie w literackiej materii, która stanowi dorobek poprzednich pokoleń, lepiej poznamy kulturę społeczeństwa, które te dzieła wydawało i stanowiło ich odbiorców. Powiarza się przy tym, że tematyka tradycyjnie uważana za wielką, jest już całkiem nieźle obrobiona. Po kiego diabła pisać siedemset dziewiętnastą rozprawę o stylu Sonetów Krymskich, kiedy pod ręką, w bibliotece, leżą zapomniane poezje niejakiego Augustyna Zdżarskiego, o którym ledwie co wie jakiś pianistyczny erudyta? W tym szaleństwie jest pewna metoda trzeba tylko dbać o zachowanie pewnych rygorów: nie zajmować się byle czym, tylko dlatego, że nie znane. Bo w takim wypadku praca pójdzie na marne. Jakież bowiem znaczenie może mieć „dogłębna", choćby nawet ultranowoczesna, strukturalistyczna analiza salonowej poezji domowej pani Kociubińskiej z czasów jej przedmałżeńskiej młodości?

Teodor Jeske-Choiński, którego działalności krytycznoliterackiej poświęciła swą książkę Zofia Mocarska-Tycowa (Towarzystwo Naukowe w Toruniu, 1975) nie jest z pewnością postacią pierwszorzędną, za to doskonale mieści się wśród drugorzędnych pisarzy i krytyków polskich okresu pozytywizmu i modernizmu. Warto było się nim zająć choćby dlatego, że jeszcze po dziś dzień pamiętamy, dzięki licznym pracom o pozytywizmie, jakie gromy rzucał on na przedstawicieli tego kierunku, z którym sam w początkach swej działalności był, o zgrozo, związany. Są jeszcze czytelnicy jego historycznych powieści, choć krytycy literatury twierdzą, że nie była to literatura najwyższego lotu. Warto było zająć się nim dlatego, że był krytykiem głośnym, niezmiernie płodnym, czyniącym bardzo wiele zamieszania w publicystyce polskiej końca XIX wieku. Autorka rozprawy „Działalność krytycznoliteracka Teodora Jeske-Choińskiego wobec przełomu antypozytywistycznego" słusznie umieszcza jego pisarstwo w ramach zjawiska kryzysu pozytywizmu, ostatnio tak fascynującego badaczy. Pokazuje przy tym, że jego szermierki i polemiki wiele zawdzięczały poglądom współczesnego piśmiennictwa niemieckiego. Inna sprawa, czy obronią się jej psychologiczne interpretacje, dotyczące kompleksów publicysty i pisarza.

Z. Mocarska-Tycowa powiada, że Choiński jest interesujący „przez swą odmienność, interesujący jako doskonały demaskator mielizn i wszystkich nie wydarzonych założeń i owoców programu „młodych" oraz powieści tendencyjnej, jako pierwotny historiograf pozytywizmu warszawskiego do lat osiemdziesiątych, którego sądy przetrwały próbę czasu i dziś okazują się w wielu wypadkach zupełnie miarodajne". Czy to nie przesada? Lepiej było rzec o niektórych tylko sądach, bo wiele jest u Choińskiego takich, które nie tylko się nie utrzymały, lecz — gdyby je ktoś powtórzył — naraziłby się na pośmiewisko. Bowiem zacietrzewienie, w to zaś Choiński wpadał bardzo często przy lada okazji, nie zawsze dozwalało mu intelektualizować sądy, formułować je w sposób spokojny. Autorka zresztą nie ukrywa, że jej bohater irytuje czytelnika swą „pieniacką napastliwością".

„Choiński niósł za sobą, przez całą działalność pisarską, kompleks młodzieńczego „grzechu" wulgarnego materializmu, kompleks zawiedzionego ucznia pozytywizmu, a to coraz mocniej deformowało jego spojrzenie na zjawiska ówczesnego życia literacko-umysłowego uwsteczniało i zacieśniało, jego postawę, prowadząc w końcu do zupełnego obskurantcwa i maniakalnych wycieczek przeciw wszystkiemu, co było nie dość katolickie i nie dość zachowawcze". Skarbnicą skrajnie reakcyjnych — nazwijmy rzecz po imieniu — zapatrywań pisarza jest wydany przezeń w 1910 r. tomik „W pogoni za prawdą". Tu w centrum jego uwagi znalazły się nie tylko nurty kulturowe czy artystyczne; Choiński zabrał się bowiem do spraw społecznych i politycznych. Jedyną orientacją, o której mówił z sympatią, była narodowa demokracja, zaś z maniakalną nienawiścią tropił wszystko, co wiązało się z lewicą. Największą pasję ujawniał, kiedy wymyślał na socjalizm i socjalistów. „Socjalizm niszczył, druzgotał z furią rozjuszonego byka wszystko..." — to ledwie próbka niewybrednej publicystyki Choińskiego. Akcje bojowców z zamachem na Skałłona na czele były dlań niczym innym, jak wyczynami bandytów; rewolucja 1905—07 roku godną najwyższego potępienia i uzasadniającą reakcyjną politykę i stołypinowską, jako konieczność dla zaprowadzenia porządku. Oceny Choińskiego były tu bardzo bliskie poglądom... carskiej żandarmerii. A przecież publicysta liczył patriotyzm wśród najwyższych cnót. Ale to już inna historia, dzieje ideowej ewolucji Choińskiego, wykraczające poza ramy badań Z. Mocarskiej-Tycowej. Autorka nie kreuje — i słusznie, nie ma po temu argumentów — swego bohatera na wybitną indywidualność. Więcej, podkreśla niekonherencję jego światopoglądu, eklektyzm zapatrywań, charakteryzujący myślicieli nie najwyższego lotu. Mimo wszystko, pomimo, że był bacznym obserwatorem kryzysu pozytywistycznej formacji światopoglądowej, że zdołał go zarejestrować, sympatyczną postacią się nie stanie. Chociaż poznanie jego działalności może mieć znaczenie dla dziejów kultury.

LEKTOR

EWA OSTROWSKA

ALICJA ODNAJDUJE KRÓLIKA

Każdy mógłby trafić do tej Doliny. Jest piękna. I nie leży za siedmioma górami ani siedmioma rzekami. To bardzo blisko — nie opodal. Zaraz za tym wzgórzem, którego łagodne zbocze porasta las. Trzeba tylko odnaleźć wzgórze, potem zejść krętą ścieżką wśród krzaków jałowca w dół. I jest się w Dolinie.

Pierwsza przywędrowała tu Alicja. Alicji powiedziano, że nigdy nie spotka białego królika. Alicji powiedziano również, że gdyby już ewentualnie spotkała gdzieś jakiegokolwiek królika, obojętne jakiej maści, jest zobowiązana go schwytać i odstawić do rzeźni. Króliki są już bowiem gatunkiem na wymarciu, a przecież z królików może być wyborny rosół lub soczysta pieczeń.

Alicja szła bardzo długo i była zmęczona. Sądziła, że chyba nie potrafi odnaleźć żadnej Doliny, choćby najmniejszej. Wszystkie Doliny, jakie napotykała na swojej drodze, były od dawna zajęte. Przecinały je ważne szlaki kolejowe, wielopasmowe wstęgi autostrad, budowano wspaniałe restauracje z samogrającymi szafami, benzynowe stacje, a nawet miasta: wyższe od lasów, betonowe, kamienne.

I gdyby nie to maleńkie, stwarzające pozory nadziei słówko c h y b a, Alicja zrezygnowałaby z poszukiwań, wróciła do swojego mieszkania w wieżowcu, na trzydziestym trzecim piętrze.

Żółta kokarda Alicji poszarzała od kurzu, w oczy szczypał piach, nogi bolały, na piętach porobiły się pęcherze. Węzełek, do którego Alicja spakowała wszystkie swoje ważne rzeczy, ciążył z dnia na dzień coraz silniej i Alicja przekładała go z ręki do ręki lub zarzucała na plecy, albo, gdy i ręce i plecy mdlały od wysiłku, wlokła go za sobą po ziemi.

Tak naprawdę węzełek Alicji był lekki, niosła w nim niewiele: zasuszony liść klonu, płatek czerwonej piwonii, kamyczek, podobny do bursztynu, wreszcie ten rysunek z Doliną i białym królikiem. Więc: niewiele. Prawie nic. A przecież uginała się pod ciężarem.

Liść klonu wpadł kiedyś, niewiadomo skąd ani jak, przez otwarte okno na trzydziestym trzecim piętrze betonowego wieżowca i, nim opadł pod nogi Alicji, chwilę zawirował w smudze zachodzącego słońca, złotoczerwony jak smutek. Alicja pomyślała wtedy, że smutek jest kolorowy i może być październikowym liściem klonu lub pierwszym motylem nad szarą jeszcze łąką.

Piwonię dostała od tego chłopca z naprzeciwka. Mieszkał też na trzydziestym trzecim piętrze w sąsiednim wieżowcu. Alicji biło serce, gdy pokazywał się w oknie. Była szczęśliwa. Przestawała nawet myśleć o białym króliku, którego należy ostrzec przed niebezpieczeństwem obławy. Któregoś dnia chłopiec podarował jej piwonię, jedną, jedyną, lecz Alicji wydało się, że otrzymała ich tysiąc, cały ogród, wszystkie ogrody z całego świata. Jednak nim opadł ostatni płatek gorejącej piwonii, chłopiec odszedł i Alicja jak zawsze dotąd była sama. Zasuszyła ten ostatni płatek między kartkami książki. Zatracił kolor, ale zachował zapach. To też było coś warte.

Kamyczek, nie większy od ziarnka fasoli, Alicja znalazła w ogrodzie. Leżał wśród innych kamyków, różnił się tylko barwą, był brązowy. Jak bursztyn, pomyślała Alicja i zaraz uwierzyła, że to jest bursztyn.

A Dolinę narysowała na kartonie. Błękitną kredką wymalowała niebo, brązową wzgórze, pomarańczową łąkę. I wtedy zobaczyła, że ścieżką, między trawami łąki, spieszy się, spoglądając co chwila na zegarek, biały królik. Więc szybko spakowała węzełek, zawiązała nową kokardę, klucze od mieszkania oddała sąsiadce i wyruszyła w drogę. Myślała: Zejdę w dół tym wzgórzem i zaraz go spotkam. Muszę mu przecież powiedzieć, że szykuje się wielka obława. Niech pod żadnym pozorem nie opuszcza Doliny.

To jednak nie należało do rzeczy łatwych: odnalezienie Doliny z rysunku.

Czy w ogóle została na świecie jakaś swobodna dolina? zastanawiała się Alicja, ciągnąc za sobą swój węzełek. A jeśli wyginęły jak dinozaury? Były olbrzymie jak wieżowiec, w którym mieszkam, a przecież wyginęły i ślad po nich nie został.

Pytała mijanych ludzi. Wzruszali ramionami.

Dolina? Jaka dolina?

Alicja wyjaśniała, że schodzi się do niej ze wzgórza.

Jak nazywa się to wzgórze? Określ jego położenie geograficzne. Północ czy południe? Wschód czy zachód?

Lecz Alicja nie oznaczyła na swoim rysunku stron świata. Nie wydawało się jej to potrzebne.

Jak można udawać się w jakąkolwiek drogę, nie znając jej kierunku? Dlaczego nie posługujesz się mapą? Czy wiesz przynajmniej czego szukasz? Cóż za bzdura: jakaś dolina! jakieś wzgórze! jakaś ścieżka mała i kręta wśród lasu! Każda dolina i każde wzgórze mają swoje nazwy, leżą w określonym miejscu, wszystko już dawno zostało odkryte, nazwane, zajęte i sklasyfikowane, podzielone na okresy, gatunki, ery, rodziny, grupy.

Alicja wyciągała swój rysunek. Pokazywała go bez obawy. O jednym wiedziała na pewno, że nikt poza nią nie spostrzeże spieszącego pomarańczową łąką królika.

Co to ma być? pytano.

To jest moje wzgórze, za którym rozpościera się szumiąca wysokimi trawami dolina, wyjaśniała Alicja.

Bzdura! na twoim rysunku nie ma żadnego wzgórza, tylko widać mały pagórek przypominający kretowisko. Czy to rachityczne drzewko ma być wysoką jodłą? Co ty sobie wyobrażasz, Alicja? Najwyższy czas, abyś wreszcie wydoroślała. Nie można wiecznie być małą dziewczynką. Wszyscy stają się dorośli, czy sądzisz, że z tobą będzie inaczej?

Ależ Dolina jest za wzgórzem. Na pewno. Ona po prostu nie zmieściła się na moim rysunku. Proszę, popatrzcie uważniej, czyż nie widzicie? Szeroka, rozległa, a jaka cisza, aż tu ją słychać. Posłuchajcie ciszy mojej Doliny, jest liliowa, jak leśne dzwonki, jest różowawa jak mgła znad rzeki, jest błękitna jak bezchmurne niebo.

Moja droga Alicjo, przerywano niecierpliwie, przykro cię słuchać. Na tej kartce niczego nie ma, bo być nie może, nie ma prawa. To jest zwykły, nieudolny rysunek, bazgroły, mówiąc szczerze. Nawet, gdyby dziś jeszcze istniała taka dolina, w której cisza jest liliowa, a łąki mają wysokie trawy, to i tak do tej pory zamieniono by ją na pastwisko. Pastwiska są ogromnie potrzebne, chyba czytasz prasę, i wiesz, że wraz ze spożyciem mięsa wzrasta proporcjonalnie zapotrzebowanie na pastwiska. A gdyby przez taką Dolinę płynęła rzeka.

Oczywiście, że płynie, wtrącała Alicja z nadzieją. Nie umiała wyobrazić sobie Doliny bez rzeki.

No, właśnie, gdyby płynęła rzeka, to tym gorzej, wtedy Dolinę zalano by wodą, zbudowano tamy, elektrownię albo elektrociepłownię, ustawiono wszędzie tablice ostrzegawcze Uwaga! Uwaga! Obcym wstęp surowo wzbroniony. Przestań się błąkać bez sensu, szukać tego, co nie istnieje, bo nie ma prawa istnieć, bądź rozsądna, nie zajmuj nam czasu, czas to pieniądz. Spieszymy się. Bardzo się spieszymy. Coraz bardziej się spieszymy. Im szybciej, tym mniej mamy czasu. Pospiesz się również. Trzeba się spieszyć. Czekają nas ważne sprawy do załatwienia.

I biegli, każdy w swoją stronę.

Alicja chowała rysunek. Siadała w przydrożnym rowie, pocieszała się słówkiem chyba, niebo było ciężkie, szare, jak gdyby zbierało się na deszcz, to dymiły kominy, fabryki, kopalnie, elektrownie, szosą pędziły samochody wzbijając tumany kurzu, ciągnąc ogony spalin. Zdarzało się, że jakiś samochód hamował na widok Alicji przyoupniętej pod drzewem.

Alicja, co tu robisz?

Patrzę.

Na co? Co tu jest do patrzenia?

Czekam na błękitną dziurkę w niebie.

Alicja, zlituj się, po co ci niebieska dziurka w niebie?

Żebym mogła zobaczyć słońce.

Po co ci słońce?

Chciałabym się uśmiechnąć.

Alicja, ty wciąż myślisz o białym króliku! Opamiętaj się! Dość już narobiłaś zamieszania! Rząd powołał komisje i podkomisje, tysiące ludzi przeczesywało lasy i pola, bez rezultatu, wyłapano sto królików czarnych, tysiąc szarych, lecz ani jednego białego. Alicja! I kiedy ty wreszcie wydoroślejesz?

Wskakiwali do swoich lśniących chromem maszyn i odjeżdżali z rykiem silników. Alicja zarzucała węzełek na plecy, ruszyła dalej.

Dokąd, Alicja, dokąd? pytali ciekawi.

Do Doliny.

To wsiadaj, my też tam jedziemy. Tylko szybko szkoda czasu, spieszymy się odpoczywać. Zalano właśnie dolinę wodą, utworzono sztuczne jezioro, ach, jak tam pięknie, sztuczna plaża bez kamyków, wybrzeże bez ostów. Dziesięć hoteli z cichobieżnymi windami. Restauracje czynne całą dobę. Sztuczne ognie, fajerwerki, narty wodne, motorówki, wsiadaj, Alicja, szybko, prędzej, podwieziemy cię.

Nie znoszę sztucznych ogni, wolę prawdziwe gwiazdy.

Nie ma prawdziwych gwiazd. Noce są coraz ciemniejsze, czarne, trzeba je rozjaśniać sztucznymi ogniami.

Nad moją Doliną jest czyste niebo i co noc świeci tysiąc gwiazd.

Nie istnieje taka dolina. Nie trafisz do niej nigdy.

Trafię. Muszę tylko odnaleźć to wzgórze, które narysowałam. A potem zejdę wysokim lasem w dół.

Las wycięto! Las wycięto! Zbudowano na ostatnim wysokim wzgórzu jeszcze jedną stację przekaźnikową. Szukasz wiatru w polu, Alicja. Nigdzie już nie ma wolnego miejsca! Wszystkie zajęte. Wszystkie urządzone. Wprowadzasz zamieszanie, Alicja. Już wysłano za tobą listy gończe.

Alicja zeszła z głównej drogi. Odtąd unikała ludzi. Któregoś dnia usłyszała nad sobą głośny warkot i czarny cień otoczył ją ze wszystkich stron. Przestraszyła się, chciała uciekać, ale nie miała dokąd. Helikopter opuszczał się niżej i wylądował na łące. Z helikoptera wyskoczyło pospiesznie dwóch czarno ubranych panów, w wielkich czarnych kapeluszach.

Alicja?

Żółta kokarda! — zawołał Pierwszy Kapelusznik i otworzył czarną teczkę z aktami. — To ona, Alicja!

Sukienka czerwona w białe grochy! wykrzyknął Drugi Kapelusznik. To ona, Alicja! Szukamy cię od trzech dni i czterdziestu pięciu godzin — oznajmił już tonem pozbawionym emocji, urzędowym. Ton urzędowy to jest taki, w którym wszystkie wypowiadane zgłoski brzmią jak zgrzyt noża po szkle.

I dziesięciu minut, uzupełnił Pierwszy Kapelusznik również tonem urzędowym — Alicja, jesteś poszukiwana listami gończymi. Co tu robisz? zapytał odkręcając flamaster i otwierając czarny notes.

Notujemy? ucieszył się Drugi Kapelusznik.

Oczywiście, Pierwszy się bez mała zgorszył. Jak bez notowania.

To cudowna rzecz: notować! zawołał z radością Drugi Kapelusznik i zaczął podskakiwać na jednej nodze, wciąż wołając: Notuję. Notujesz. Notujemy. Notujecie. Notowaliśmy. Będziemy notować.

Więc co robisz? ponowił pytanie Pierwszy Kapelusznik.

Siedzę, odparła cicho Alicja, ogromnie bała się czarnych Kapeluszy, od dziecka ją przerażały.

Ona siedzi! wykrzyknął w zdumieniu Drugi Kapelusznik. Zdziwił się tak, że przestał podskakiwać.

Dlaczego siedzisz? dopytywał surowo Pierwszy Kapelusznik.

Nie wiem. Tak sobie.

Znasz prawo?

Prawo? Prawo? Nie, nie znam. Zapomniałam.

Ona zapomniała o prawie! Coś niesłychanego! ucieszył się znów Drugi Kapelusznik i z radości zaczął podskakiwać na drugiej nodze. Zaraz zanotuję. Zanotujecie. Zanotujemy.

Powinnaś wiedzieć, że prawo nie zezwala nikomu siedzieć tak sobie — wyjaśnił Pierwszy Kapelusznik. Wstań.

Alicja posłusznie wstała. Nogi uginały się pod nią. Już przecież raz przeżyła proces wytoczony w sprawie białego królika.

Co masz w tym węzełku?

Nic.

Jak to: nic? Jakbyś miała nic, nie pakowałabyś węzełka — zdenerwował się Pierwszy Kapelusznik. Rozwiąż, rozkazał Drugiemu.

Na trawę wypadł liść klonu, płatek piwonii, kamyczek nie większy od ziarnka fasoli i rysunek z Doliną.

O, powiedział tylko Pierwszy Kapelusznik, a Drugi z wrażenia przestał podskakiwać.

I co z nią zrobimy?

Zarekwirujemy. Zanotujemy. Wpiszemy. Podpiszemy. Ostemplujemy, zaproponował Drugi Kapelusznik.

Jest niebezpieczna dla otoczenia, stwierdził Pierwszy. Bardzo niebezpieczna. Nie spieszy się nigdzie, co gorsza przeszkadza innym się spieszyć, siada tam, gdzie się jej podoba, no i dźwiga to wszystko ze sobą. Nikt nie ma dziś czasu na dźwiganie, tego się dziś nie robi, to zostało zastrzeżone prawnie. Rekwirujemy.

I Pierwszy Kapelusznik zapakował do swojej czarnej teczki liść klonu, płatek piwonii, rysunek z Doliną.

W ten sposób otrzymujesz od nas szansę rehabilitacji, zakończył Pierwszy Kapelusznik. Nie zmarnuj jej. To już ostatnia szansa. Zanotowałeś?

Zanotowałem! wykrzyknął Drugi Kapelusznik. Zawsze wszystko ściśle notuję. Liść klonu, płatek piwonii, rysunek. Brak kamyczka. Stwierdzam.

Ale w trawie leżało dużo kamyczków, wszystkie szarawe, podobne do siebie, zwykłe. Nie wiadomo, który kamyczek należał do Alicji.

Kamyczek spisać na straty, oznajmił Pierwszy Kapelusznik, zamknął akta, zamknął teczkę i ruszył do helikoptera. Zawarczało śmigło. Czarny cień przykrył łąkę, przesunął się na niebo. Alicja została sama, z pustym węzełkiem.

Jeszcze miała nadzieję, że odnajdzie swój bursztyn. Lecz widziała wszędzie tylko zwykłe kamyki. Wszędzie pełno najzwyklejszych kamyków.

Poczuła bolesne ukłucie w sercu. To straszne, same zwykłe kamyki, ani jednego bursztynu.

Właśnie, że nie będę płakała, powiedziała głośno Alicja, lecz nie mogła poradzić: płakała.

I żeby przeszkodzić tym głupim łzom, które płynęły nieprzerwanie, zacisnęła mocno powieki. I nagle zobaczyła: wzgórze nie było zbyt wysokie, miało łagodne zbocze, porośnięte gęstym lasem. Łąka była pomarańczowa od słońca, wśród wysokich traw biegł biały Królik. Był szalenie zaaferowany, powtarzał niespokojnie: Och, mili moi! Och, mili moi! Spóźnię się!

Ach, pomyślała Alicja.

Widziała swoją Dolinę, była tak blisko, na wyciągnięcie dłoni. Alicja zacisnęła silniej powieki, postanawiając już ich nigdy więcej nie otwierać.

Potem szybko zbiegła w dół krętą ścieżką porośniętą krzakami jałowca. Zdążyła na czas. Królik właśnie wskoczył do wielkiej nory, na skraju żywopłotu.

Włodzimierz Parys

(fragment książki pt. „Proces Alicji z Krainy Czarów")

HISTORIA OBYCZAJÓW XIV

ZBIGNIEW KUCHOWICZ

CHOROBA BARBARY

Dalszy ciąg ze str. 1

związku z czym stosowała zabiegi magiczne, mające na celu zapobieżenie lub odwrócenie zadanych uroków. Zalecano noszenie „cudownych" ziół, kamieni, metali. Nawet w przypadku stwierdzenia naturalnych przyczyn choroby stosowano czasem zaklinania i zażegnywania. Jestem przekonany, że lekarze kurujący królową bez oporów zgodzili się na sprowadzenie czarownic.

Zygmunt August w lutym zwrócił się tedy do Rudego i Czarnego Radziwiłłów z poleceniem, by wyszukali i przysłali do Krakowa jakąś babę biegłą „in arte incantamentorum", to jest w zdejmowaniu uroków. Bracia z miejsca energicznie wzięli się do dzieła. Czarny odbył naradę z kilkoma paniami z Podlasia i po zasięgnięciu ich opinii co do umiejętności okolicznych bab, wybrał trzy, dwie Rusinki i jedną Żydówkę, i wysłał je pod koniec lutego na dwór królewski. W parę dni później także i Rudy wyekspediował czwartą zażegnywaczkę, która jednak po przybyciu do Krakowa okazała się niepotrzebna, w zdrowiu królowej dostrzeżono bowiem pewne polepszenie.

Nastąpiło ono przede wszystkim z powodu pęknięcia ropnia, który 6 marca otworzył się sam pod plastrami. Uradowany Zygmunt August donosił 10 marca, że „za tem otworzeniem tego wrzodu, longe melior capitur spes (daleko lepsza jest nadzieja) około uzdrowienia królowej". Przypuszczam, że poprawa nastąpiła także pod wpływem zabiegów magicznych. Stosowanie zamawiań i zaklęć mogło zmniejszyć stany lękowe, oddziałać korzystnie na psychikę chorej przekonanej o skuteczności dokonywanych zabiegów. (Wrzód pękł po odczynieniu uroków!) Należy pamiętać o wielkiej roli sugestii, o tym, że stany lękowe, psychiczne oddziaływują z kolei na stan somatyczny. Niestety, choroba Barbary była tego rodzaju, że wszelka psychoterapia mogła przynieść tylko chwilowe, krótkotrwałe efekty.

Ówczesne lecznictwo ludowe bazowało na lekach realnych, środkach roślinnych, zwierzęcych, wódkach leczniczych itp. Lecznicze działanie wielu roślin znano wówczas lepiej niż obecnie, stąd nie można lekceważyć zabiegów, które pozornie wydają się dziwaczne. Znamienne, że baby przysłane przez Czarnego były właśnie nie tylko zażegnywaczkami, ale w szczególności „specjalistkami" w zakresie chorób kobiecych. W stosunku do Barbary zezwolono im jednak tylko na stosowanie metod magicznych. Kiedy wrzód pękł, zrezygnowano z bab i całą kurację powierzono znów lekarzom. Gdyby pęknięcie ropnia nastąpiło w wyniku środków stosowanych przez znachorki, bez wątpienia by je zatrzymano i powierzono dalszą opiekę nąd chorą. Tymczasem August prosił Rudego, by swym wpływem wymógł teraz na Barbarze posłuszeństwo dla lekarzy, do którego skłonną nie była, a od którego, wedle jego mniemania, zależało życie żony. Zaufanie, jakim król darzył swoich medyków, nie przynosiło upragnionych skutków, wobec schorzenia Barbary byli bowiem jeszcze bardziej bezradni niż znachorki.

Pewna remisja choroby pozwoliła jednak na dokonanie niespodziewanego dla postronnych aktu — przyjęcia poselstwa królowej Bony. Matka królewska od momentu koronacji zdała sobie sprawę, że dalsze zwalczanie Barbary nie ma sensu, pogłębia tylko niechęć i rozżalenie najdroższego Augusta. Prawdopodobnie orientowała się, iż stan chorej jest beznadziejny i w tej sytuacji postanowiła uznać synową, aby pogodzić się z synem. Istnieją supozycje, że decydując się na ten akt miała na celu odzyskanie pozycji na dworze i w państwie, kierowała się wyrachowaniem. Nie można wykluczyć tych motywów, nie należy jednak również demonizować Bony. Możliwe, iż na jej decyzję miały wpływ także bardziej bezinteresowne uczucia, dopuszczam nawet, iż obudziło się w niej niejakie współczucie dla Barbary. Jeszcze bardziej prawdopodobne jest mniemanie, iż w tym czasie postanowiła zrewidować swą linię postępowania bez względu na dalsze losy synowej. Jej oświadczenie, o którym niżej, albo dowodzi skrajnej przewrotności i makiawelizmu powołującej się na Boga Bony, albo też przemawia za pewną szczerością deklaracji. Osobiście opowiadam się za drugą alternatywą.

Jest faktem, że inicjatywa zgody wyszła z jej strony, przez swych wysłanników prowadziła też pertraktacje z synem.

August przystał na zgodę, lecz postawił swoje warunki. Chodziło mu o publiczne uznanie Barbary przez Bonę, o dostarczenie pełnej satysfakcji małżonce. Stara królowa po namyśle przystała na te warunki. W związku z powyższym w dniu 31 marca 1551 roku, we wtorek, w trzeci dzień Wielkanocy, królowa Barbara udzieliła uroczystej audiencji wysłannikowi Bony. Był nim spowiednik, franciszkanin Lismanin.

Zygmunt August nadał audiencji uroczystą oprawę. Barbara leżała na łożu, otaczał ją jednak liczny, strojny dwór. Na rozkaz królewski przytomne były wszystkie panie dworu, które znajdowały się wtedy w Krakowie, pomiędzy nimi wojewodziny i kasztelanowe. Pośród zgromadzonych panów znajdował się m.in. podkanclerzy koronny oraz kilku kasztelanów. Pełnomocnik Bony złożył Barbarze dwa listy: jeden od starej królowej, drugi od królewien, napisany własnoręcznie przez królewnę Zofię. W listach tych matka i siostry królewskie uznawały i godziły się z Barbarą. Lismanin złożył także ustne oświadczenie, w którym w imieniu starej królowej uznawał Barbarę i życzył jej powodzenia. Franciszkanin oświadczył: „Najjaśniejsza królowa Bona, z łaski bożej królowa polska, pani moja najmiłościwsza, widząc to wolą niebios, których rozkaz panuje wszystkiemu na ziemi, jako też życzeniem jego królewskiej mości, najukochańszego syna swego, którego chęciom nie godzi się opierać, aby waszą królewską mość pojął za najukochańszą małżonkę swoją i uczynił ją tronu i łoża uczestniczką — po długim i dojrzałym namyśle przyrzeka uznać i szanować waszą królewską mość jako swoją córkę i synową najukochańszą, . która teraz przeze mnie, świadka i spowiednika sumienia swego, pozdrawia i nawiedza zasyłając modły do nieba, aby waszej królewskiej mości dało rychło wyzdrowienie z tej obecnej niemocy i wszelkie sukcesa i pomyślność na przyszłość".

Barbara odpowiedziała mową swego ochmistrza — kasztelana Maciejowskiego. Odpowiedź była utrzymana w równie kurtuazyjnym tonie. Podejrzliwy Zygmunt August nie bardzo wierzył w szczerość słów matki, w poufnej korespondencji wypowiadał nawet obawy, by Barbara nie została przez Bonę otruta, nie chciał, aby te dwie najbliższe mu kobiety często się z sobą spotykały. Pisał dosłownie: „Wolimy, iż się przez listy raczej nawiedzać będą, niżliby się miały często pospołu widać. Owa ku wieczerze trzeba będzie wyglądać".

Z aktu uznania był jednak zadowolony i nadał sprawie odpowiedni rozgłos. Wysłał m.in. kopie listów Bony i królewien Mikołajowi Czarnemu. Kontenci z tego faktu byli także Radziwiłłowie. Czarny w liście do Rudego, pisanym 11 kwietnia, cieszył się, że „to już ostatnia kłoda królowi jego m. z drogi". Radowali się ze zgody królowych, przyjaźni Barbarze dworzanie, m.in. ochmistrz Maciejowski. Bodaj najmniej cieszyła się z tego sukcesu sama Barbara. Audiencja udzielona wysłannikowi Bony sprowadziła całkowite wyczerpanie, nie miała już sił radować się triumfem, czuła bowiem przysłowiowe tchnienie śmierci.

Nadzieja na poprawienie stanu zdrowia okazała się złudna. Chorą poczęły trapić dolegliwości żołądkowe, obok miejsca pęknięcia ropnia utworzył się w połowie kwietnia drugi wrzód, ten także uległ przebiciu, powróciła gorączka. Choroba poczyniła straszne spustoszenie, czyniąc z pięknej, młodej i do niedawna ponętnej kobiety wzbudzający litość, przysłowiowy ludzki strzęp.

Barbara nie mogła jednak liczyć na liczniejsze przejawy współczucia. Konała w innej atmosferze, niż wynika to ze stylizowanych opisów XIX-wiecznych. Wieść o śmiertelnej chorobie, nawet widok powalonej niemocą, niezdolnej uczynić kroku królowej, wywoływały najróżniejsze reakcje. Zygmunt August rozpaczał, szczerze bolało grono przyjaznych jej krewnych i przyjaciół. Krąg ten jednak był bardzo wąski. Zamilkli, nie okazywali żalu liczni do niedawna pochlebcy, którzy w 1550 roku, w nadziei faworów królewskich, wysławiali Barbarę. W tych dniach próby zrzucili maski, pokazując prawdziwe swe oblicze — ludzi obojętnych i interesownych. Przygniatająca większość szlachty okazywała nie tylko obojętność, lecz wręcz wrogość. Nienawidzono Augustowej żony od momentu ogłoszenia królewskiego małżeństwa i od tej pory niewiele się zmieniło. W 1551 roku radowano się jej cierpieniem, cieszono z bliskiego zgonu, który uwolni kraj od wyniesionej przez usidlonego króla „czarownicy". Według kursujących relacji „obiecywano sobie po królu (...), że wróci do obyczajów królewskich po śmierci Barbary". Wiedziano, że choroba atakuje jej organa kobiece i fakt ten stawał się podstawą złośliwych komentarzy. Wielu głosiło, że umiera na szpetną chorobę. Bezwzględność i zjadliwość wobec osób umierających bądź też zmarłych, jeśli były one zwalczane z uwagi na aspekty społeczno-polityczne, występowała nieraz w obyczajowości staropolskiej. Dość przypomnieć tu reakcje wobec śmierci Piotra Kmity, Ludwiki Marii, Zofii Wittowej-Potockiej. Stąd też stosunek do Barbary nie był znów czymś wyjątkowym, niemniej jednak uderzała bezwzględność, okrucieństwo tych skądinąd humanitarnych ludzi Odrodzenia. Wielu dworzan, pozornie lojalnych, nieludzko radowało się na widok męczarni królowej. Znamienne są relacje Jana Bojanowskiego, dworzanina królewskiego a równocześnie tajnego agenta księcia pruskiego, który miał wstęp na pokoje Barbary. Bojanowski miał o niej najgorszą opinię, jako o koronowanej nierządnicy. 10 kwietnia tak opisywał jej stan:

„Leżała ona stale, nie mogąc się poruszyć o własnych siłach, przez innych noszona, gnijąca koło części rodnych, nogi opuchnięte, pozostała część ciała wysuszona jak gąbka. Piła i pożerała jak wielbłąd, lecz wszystko surowe zrzucała górą i dołem. W sumie nie było nikogo, kto wierzyłby, że ona może żyć, jednakże nie przestano udawać, a my **bawiliśmy się** do ostatniego tchu".

Na początku maja poczęły nękać ją „wielkie mdłości". Wydzielina z przetok miała woń cuchnącą, wstrętną, z tego względu, a po części prawdopodobnie z powodu wspomnianej wyżej niechęci, otoczenie poczęło unikać chorej. Podobno tylko jeden Zygmunt August nie czuł odrazy, czuwał stale przy łożu, starając się łagodzić jej cierpienia, dodawać otuchy, chroniąc od budzącej lęk chorych samotności. Dla niego była w dalszym ciągu najpiękniejsza i najdroższa, cieszył się po prostu, że jeszcze jest, żyje, oddycha. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że Barbara dogorywa, on jeden łudził się nadzieją poprawy, wyzdrowienia, wszystkimi siłami próbował ratować ukochaną. Dwa dni przed jej śmiercią pisał: „gdyby te mdłości jako się spodziewamy stanęły, mniemamy, iż za łaską Bożą może być lepsza nadzieja około zdrowia (...) małżonki naszej miłej". Ponieważ dławiona mdłościami, dusząca się w zamkowych komnatach Barbara zapragnęła odmiany powietrza, polecił natychmiast sporządzić ogromny powóz, na którym by wygodnie można było umieścić łoże i służbę chorej, aby móc ją wywieźć do położonych pośród lasów Niepołomic. Ponieważ tak ogromny wóz nie mógłby przejechać przez bramę miejską, polecił burzyć mury.

Walczył o jej życie z taką pasją, przejęciem, jak niegdyś starał się o uznanie małżeństwa, koronację. Łatwiej mu jednak było zwalczyć opór setek tysięcy ludzi niźli tę przemożną siłę, która kładzie kres człowieczemu istnieniu, przynosi wieczny sen odchodzącym, rani zaś i łamie ich najbliższych. Nikt, kto nie stracił ludzi bliskich, kochanych, nie pojmie lęku, rozpaczy, zapalających się i gasnących iskier nadziei, jakie targały czuwającym przy Barbarze królem. Nie było ceny, jakiej by nie zapłacił za jej życie, nie było siły, jakiej by nie wzywał na ratunek. Odpowiadało mu jednak złowrogie milczenie. Nie zdążono wyburzyć murów, nie zdążył wywieźć swej Barbary do Niepołomic, nie zdążył sprowadzić nowych czarownic czy doktorów. Nie doczekał się wzywanego „miłosierdzia Bożego". Przegrał walkę o jej życie.

D.c.n.

HISTORIA NAJNOWSZA

ANDRZEJ BLAJER

(II)

ZBRODNIA W MAJESTACIE PRAWA

Kiedy na polecenie Hoovera FBI rozpoczęła gorączkowe poszukiwania owych tajemniczych atomowych szpiegów, jej agenci natknęli się na nazwisko Davida Greenglassa. Z dokumentów wynikało, iż Greenglass został powołany do armii w 1943 roku i pracował tam jako ślusarz. W tym charakterze został wysłany w 1944 roku do Los Alamos. O miejscowości tej wiedział jednak tylko tyle, iż jest tam opracowywany projekt jakiejś tajnej broni na potrzeby armii. Szczegółów nie znał zupełnie, lecz był zatrudniony przy produkcji mało istotnych części owej broni. Zarobki też nie były duże i Greenglass, chcąc się szybko dorobić, dokonał szeregu kradzieży różnych części produkowanych w zakładach w Los Alamos. Ciekawe, iż nie został za to wówczas pociągnięty do odpowiedzialności karnej, choć, jak się okazało w 1950 roku, wszystkie te fakty były doskonale znane władzom. A przecież zgodnie z niezwykle surowymi przepisami bezpieczeństwa chroniącymi tajemnicę „Projektu Manhattan" każda kradzież, nawet najdrobniejsza była traktowana jako szpiegostwo, za które groziła kara śmierci lub 30 lat więzienia.

Od początku jednak było wiadomo, iż trudno będzie zakwalifikować kradzież drobnych części, tak bardzo mało istotnych dla realizowanego projektu, jako kradzież tajemnicy bomby atomowej. Na podstawie ujawnionych faktów żaden sąd w USA, nawet w erze McCarthy'ego nie dałby temu wiary. Chyba, żeby... właśnie. Chyba, żeby istniał ktoś, kto zaświadczyłby pod przysięgą, że Greenglass rzeczywiście wykradł tajemnicę bomby „A".

I oto okazało się, że FBI dysponuje odpowiednim „świadkiem". Był nim człowiek nazwiskiem Harry Gold, który zeznał, iż odkupił od Greenglassa za 500 dolarów szkic metody wytwarzania bomby atomowej. Ów Gold został bowiem skazany za swój czyn na długoletnie więzienie i chcąc pozyskać FBI w nadziei na zmniejszenie kary, ujawnił nazwisko osoby od której szkic otrzymał.

Sytuacja Davida Greenglassa przedstawiała się raczej dość tragicznie. Wyrok mógł bowiem być tylko jeden: śmierć. Również żona Davida, Ruth, zaczęła się poważnie obawiać, iż władze mogą jej udowodnić tak współudział w przestępstwie jak i fakty wyciągania korzyści materialnych z kradzieży dokonywanych przez jej męża. Mogła więc podzielić jego los lub, w najlepszym razie, spędzić resztę życia w więzieniu. Oboje zaczęli się gorączkowo zastanawiać, co zrobić, aby uniknąć ostateczności. I oto okazało się, iż jest pewne wyjście z tej sytuacji. Otóż ich adwokat znalazł przepis prawny z 1878 roku, w którym stwierdza się m.in., iż: „Wspólnicy przestępców, którzy dotychczas nie popełnili żadnego czynu niezgodnego z prawem nie będą za swoje obecne przestępstwa karani sądownie pod warunkiem... że jako świadkowie złożą wyczerpujące i zgodne z prawdą zeznania."

O to właśnie chodziło także i FBI: wspólnicy. David Greenglass był bowiem zwykłym, szarym obywatelem USA i nie pasował zupełnie do roli szpiega atomowego, którego proces odbije się przecież szerokim echem w całym świecie. Człowiek ten powinien być komunistą, gdyż tylko wówczas można będzie osiągnąć zamierzony skutek w antyradzieckiej prowokacji. Poza tym powinien być to człowiek wykształcony, który rozumiałby problemy współczesnej fizyki w o wiele szerszym zakresie niż ślusarz, nawet gdyby nie pracował w Los Alamos.

Podczas przesłuchań Greenglassa musiało naturalnie paść nazwisko Rosenberg. David musiał przecież wspomnieć o zwolnieniu Juliusza Rosenberga ze służby rządowej w 1945 roku, jak i o uzasadnieniu towarzyszącemu tej decyzji t.j. komunistycznych przekonaniach szwagra. To już właściwie wystarczało, punkt zaczepienia już był. Teraz trzeba było tylko puścić w ruch aparat sprawiedliwości, który dokonałby reszty, to znaczy udowodniłby Rosenbergom popełnienie zbrodni stanu.

David Greenglass, widząc szansę uratowania swej głowy, postanowił poświęcić siostrę i szwagra, złożył więc obciążające ich zeznania. Na przesłuchaniu oświadczył funkcjonariuszowi FBI, iż szkic produkcji bomby atomowej przekazał Juliuszowi Rosenbergowi. Greenglass powiedział, iż szwagier często wspominał mu o swej pracy dla partii komunistycznej oraz zwierzył mu się, iż chciałby uczynić dla niej coś szczególnego. „Juliusz powiedział — zeznał Greenglass — że teraz wreszcie będzie mógł uczynić to co chciał zrobić zawsze — dostarczyć Związkowi Radzieckiemu odpowiednie informacje".

Podczas wielogodzinnych, codziennych przesłuchań małżeństwa Rosenbergów, po ich aresztowaniu, próbowano zmusić ich do przyznania się do winy wobec tak „ewidentnych dowodów", jakimi były zeznania Greenglassów. Wszystkie wysiłki w tym kierunku okazały się jednak daremne, a żadnych przekonywających dowodów przeciwko nim władze śledcze nie były w stanie przedstawić. Tymczasem propaganda imperialistyczna coraz natarczywiej domagała się szybkiego znalezienia atomowych szpiegów, a każdy środek, jaki prowadził do tego celu, był dobry. Skoro więc nie udało się udowodnić Rosenbergom winy, trzeba było spreparować fakty, aby były wiarygodne a zarazem nie do obalenia. Tak też uczyniono. A oto, jak wspomniany już uprzednio Don Whitehead przedstawia w „FBI-Story" ową oficjalną wersję kradzieży tajemnicy bomby atomowej:

„David pracował przy produkcji bomby atomowej, najbardziej śmiercionośnej broni, jaką mógł wymyślić ludzki mózg. Juliusz i Ethel chcieli uzyskać od Davida informacje, które Rosjanie mogliby później spożytkować dla siebie. Rosenberg miał więc zaaranżować spotkanie między Greenglassem a przedstawicielem radzieckiego wywiadu, swoim łącznikiem z Rosjanami, który wypytałby Greenglassa o postępy w rozwoju produkcji amerykańskiej bomby atomowej.

„Dam ci coś — powiedział Juliusz do Ruth — co pozwoli ci zidentyfikować osobę, która cię poszukuje."

Ruth i Rosenbergowie udali się do kuchni, gdzie Juliusz oddarł kawałek tektury z pudełka po puddingach, rozerwał go na dwie części i wręczył Ruth jedną z nich, po czym wrócili do pokoju. David Greenglass spojrzał na oba kawałki tektury. Kiedy się je razem złożyło, wszystkie nierówności pasowały do siebie idealnie.

„O — powiedział — ale to chytre!" Juliusz uśmiechnął się. „Im prościej, tym chytrzej."

We wrześniu 1945 roku Greenglass spędził swój urlop w Nowym Jorku. Wówczas to przekazał Juliuszowi Rosenbergowi szkic przekroju poprzecznego bomby atomowej, zrzuconej na Nagasaki, który sporządził na podstawie własnych prac przy urządzeniach zapłonowych bomby, oraz na podstawie dyskusji między uczonymi i innymi osobami, które to rozmowy udało mu się podsłuchać. Oprócz szkiców Rosenberg otrzymał także odręczną notatkę o pracach prowadzonych w ośrodku atomowym w Los Alamos. Juliusz Rosenberg był zachwycony. „To jest świetne!" — wykrzyknął po czym przyniósł maszynę do pisania. Ethel Rosenberg przepisywała odręczne notatki Greenglassa podczas gdy Juliusz i Ruth korygowali je.

W międzyczasie Rosenberg zażądał od Greenglassa, aby rozpoczął studia na uniwersytecie. Pomoże mu to lepiej zrozumieć problemy techniczne i zapoznać się z fizyką jądrową. Gdyby koszty z nimi związane przekroczyły stypendium przyznane mu jako byłemu uczestnikowi wojny, to wymaganą sumę dadzą Rosianie, tak jak robili to w wielu innych przypadkach".

Tyle relacja Whiteheada. Na podstawie jej lektury wydaje się, iż trudno o bardziej prymitywną wersję niż tu zaprezentowana, a przecież nie ukazała się ona w jakimś podrzędnym piśmie, ale w książce uchodzącej za oficjalną historię FBI. Greenglass, jak z niej wynika, pomimo, iż był zwykłym ślusarzem był doskonale poinformowany o wszystkich szczegółach związanych z konstrukcją i produkcją bomby atomowej. Według autora fakt, że Greenglass pracował w Los Alamos oznaczał już, iż był on we wszystko wtajemniczony. Nawet dziecko by w to nie uwierzyło, ale, o dziwo, uwierzyły najwyższe instancje amerykańskiego aparatu władzy i sprawiedliwości.

Przy realizacji projektu bomby atomowej zatrudnionych było 150 tysięcy ludzi. Ale tylko kilka osób z najbliższego otoczenia Roberta Oppenheimera, dyrektora ośrodka, orientowało się tak w całości projektu, jak i w jego głównych szczegółach. W raporcie dotyczącym centrum produkcji broni atomowej w Hanford mówi się, iż tylko dla naszkicowania technologicznego przebiegu prac w tym ośrodku potrzeba by było 30 grubych tomów. Podobnie było również w Oak Ridge i Los Alamos. A tu prosty ślusarz, w stopniu zaledwie plutonowego „na podstawie własnych prac" i podsłuchanych rozmów potrafił dowiedzieć się szczegółów dotyczących konstrukcji bomby atomowej. I jeszcze cały świat miał w to uwierzyć. David Greenglass, zanim został powołany do wojska, próbował szczęścia w czterech wyższych uczelniach technicznych, ale jego inteligencja nie pozwoliła mu kojarzyć nawet najbardziej elementarnych zależności teoretycznych. A później ten sam człowiek potrafił na kilku kartkach zapisać tajemnicę bomby atomowej.

Aby jeszcze wzmocnić argumentację na rzecz tezy o przekazaniu owej tajemnicy przez Rosenbergów Rosjanom, FBI starała się udowodnić, iż Rosenbergowie przed swym aresztowaniem próbowali zbiec za granicę. W tym celu wykorzystano zeznanie fotografa, Bena Schneidera, u którego Rosenbergowie zamówili sobie zdjęcia do paszportu w celu rzekomego wyjazdu do Meksyku. Jednocześnie pod zarzutem pełnienia funkcji łącznika Rosenbergów z Rosjanami FBI aresztowała Mortona Sobella, przyjaciela Juliusza z okresu studiów uniwersyteckich.

Im bliższy stawał się termin rozpoczęcia procesu przeciwko Rosenbergom, tym częstsze i zaciekłejsze były wystąpienia prasy domagające się wymierzenia „atomowym szpiegom" najwyższego wymiaru kary. Głos zabierało wielu „znawców" zagadnienia, którzy, jak generał Lucius D. Clay, roztaczali przed społeczeństwem amerykańskim straszliwe wizje totalnej zagłady amerykańskich miast na wypadek użycia broni atomowej przez Rosjan. „W ciągu 10 sekund od chwili zrzucenia bomby na Nowy Jork — pisał Clay — w promieniu pół mili od centrum wybuchu każda istota ludzka zostałaby zabita. A taki właśnie los oskarżeni chcieli zgotować Stanom Zjednoczonym".

RYSZARD BINKOWSKI

CHLEBEM I SOLĄ, PO PIASTOWSKU

Dalszy ciąg ze str. 1

przez milicjantów, zaczęły zjeżdżać dziesiątki autokarów z napisem: „Z „Gromadą" na Centralne Dożynki w Koszalinie". Szli artyści pod parasolami, dziewczyny w białych skarpetkach, harcerze, koszalinianie w cywilu i mundurach, zetemesowcy w szerwonych krawatach, dzieci.

Ponieważ deszcz bębnił w dachy, delegaci niechętnie opuszczali autokary. Na wesoło wspominano perypetie ubiegłego dnia.

A było tak.

Zanim połączone siły delegatów województw: łódzkiego miejskiego, piotrkowskiego, sieradzkiego i skierniewickiego opanowały kwatery w Sarbinowie (Ośrodek Wypoczynkowy Bielskich Zakładów Filcu) odbyła się podróż z przygodami. Pani Wanda, opiekunka łódzkiej grupy, namawiała mnie na autokar, ale ja, wygodniś i niewdzięcznik wielki, przesiadłem się do prezesówskiej „wołgi".

Autokary miały się spotkać na punkcie zbornym w Tupadłach, ale się nie spotkały, ponieważ były dwie miejscowości o tej samej nazwie. Następnym punktem koncentracji była restauracja „Warszawianka" w Człuchowie, zarezerwowana na obiad dla delegatów. Autokary przybywały z godzinnym opóźnieniem, miejscowa ludność męska, spragniona, jak zwykle w sobotę, szturmowała zamkniętą knajpę; szerzyły się pomruki i ktoś nawet gadał coś o juncie. Wszyscy czekali na łódzki autokar. Po dwóch godzinach wiceprezes WZKR w Łodzi, pani Anna Stefaniakowa schudła z przejęcia i zaczęła dzwonić z komendy MO po trasie. Przychodziły meldunki, że nic się nie stało, pani Stefaniakowa oddychała z ulgą. Autokar miał zresztą przybitą podkowę na szczęście. Przyjechał po trzech godzinach. Żałowałem, że nie mogłem spędzić tyle czasu z panią Wandą.

Okazało się, że „Gromada" zaplanowała zabrać do autokaru delegatów z Poddębic, Łęczycy i Kutna. Autokar krążył, czekał, aż wystartował do drogi dopiero w południe.

Później, w gminie Biały Bór, gospodarze witali delegatów bochenkami chleba i solą oraz szarżą kawalerii, a delegaci obdarowywali ich drobnymi upominkami.

W Koszalinie, o zmierzchu autokary rozproszyły się. Pan Czesław, kierowca „wołgi" przypiął się do jednego z rejestracją wieluńską. I rozpoczął się film gangsterski. Autokar gnał przez Koszalin, „wołga" za nim. Autokar robił wiraże, hamował, skręcał, wpadał na dworce, w wąskie ulice, zawracał, a „wołga" za nim. Aż rozkraczył się w poprzek uliczki, mierząc lbem w podwórko. Był to wóz ze sportowcami, który szukał bazy remontowej...

W Sarbinowie „wołga" dopadła osierocony autokar łódzki. Panią Wandę zastąpił przewodnik koszaliński, który poprowadził autokar w mrok polnej drogi i wóz wpadłby do morza, bo to nie było to Sarbinowo. We właściwym miejscu znaleźliśmy się o dziewiątej wieczorem.

O północy dwóch nie znanych osobników w kalesonach rzuciło się w odmęty Bałtyku, ale wyrzuciła ich wysoka fala, albowiem morze broniło się przed zatruciem.

— A raz — opowiada kierowca autokaru — stanąłem z wycieczką przy jakimś zamku. Wieczór był, goście wysiadają tylnymi drzwiami, lecz nie widzę, żeby mi wchodzili w światło reflektorów. Bo oni, cholera, prosto z drzwi do fosy...

Tak żeśmy sobie wspominali, deszcz bębnił w dach, a trzydzieści tysięcy ludzi, kierowanych przez porządkowych w kolorowych czapkach i z krótkofalówkami, obsiadało mokre trybuny stadionu.

2.

Korona stadionu uwieńczona dekoracją w stylu morskim: błękitnawe łodzie i złote radary, dodatkowo czerwone tulipany. Radary i tulipany, w zależności od siły wiatru, kręciły się szybciej lub wolniej, albo stawały. Trybuna honorowa, też koloru wody morskiej, przypominała nadburcie statku.

Nisko krążyły helikoptery i poprzez jazgot śmigieł i silników ktoś krzyczał, że rozpędzają chmury. Było jednak nie tak, bo wraz z pojawieniem się stalowych ważek pryskał deszcz i w górę szły parasole.

— Nie sikać na nogi! — piszczały kobiety, co miało znaczyć, aby widz z przodu odsunął parasol, z którego kapało.

W pewnej chwili w wyrwie między trybunami wyrósł rząd kwiatów o dużych soczystych liściach i czerwono-białych koronach. Deszcz je skraplał, ale wcale nie rosły, tylko się kurczyły. Potem kwiaty się rozstępowały i na zieloną murawę zaczęły spoza nich wypływać barwne korowody kapel ludowych, które rozstawiły się w różnych punktach stadionu. Jedna półzawodowa amatorka wycierała rozmazany przez deszcz tusz, dziadek wylewał wodę z kontrabasu; ktoś prostował przylepioną wstążkę u kapelusza, a co sprytniejsi skracali czas oczekiwania pstrykaniem pamiątkowych zdjęć zbiorowych, parami i solo.

Około wpół do dziesiątej na bieżni zaczął się ruch, to znaczy przebiegały w tę i wewtę drobne grupki artystów. Widzowie też się ożywili, poruszając gwałtownie parasolami.

— Patrz pan od spodu — radzi sąsiad pod parasolem.

— Sam pan trenuj oko od spodu! — ripostował drugi.

Nie będą transmitował uroczystości za telewizję, ani bawił się w Reymonta, opisując całe późniejsze połączone piękno ruchu, barwy i dźwięku. Ograniczę się tylko do chwil, które stadion przeżywał najmocniej.

Burza oklasków, kiedy na trybunie honorowej pojawiają się dostojni goście z towarzyszami: Edwardem Gierkiem i Piotrem Jaroszewiczem na czele. Stadion wstaje z miejsc, rozbrzmiewa hymn państwowy, połączone chóry i orkiestry wykonują pieśń „Gdy nagród do boju". Prezes Zarządu Centralnego Związku Kółek Rolniczych, Jerzy Maciak, wita Gospodarza Dożynek, przedstawicieli władz, gości honorowych i wszystkich uczestników Centralnych Dożynek w Koszalinie.

Następuje najbardziej wzruszająca chwila wspomnień. Dziewczęta z LZS powiewając w ruchu gimnastycznym błękitnymi chustami, tworzą widok łudząco podobny falowaniu morskich fal. Trzech żołnierzy z flagą narodową dokonuje zaślubin z morzem. A potem „Szli na zachód osadnicy", siew pod skowrończym śpiewem, ostrzenie kos, szelest koszonego zboża, wszystko podbudowano ruchem i efektami akustycznymi.

„Za obfitość pod Twym rządem, sprawiedliwość, prawa mądre dziękujemy Ci, Gospodarzu nasz"...

Na ręczniku piękny, złocisty bochen chleba, wypieczony z ziarna zebranego w tym roku. Deszcz nie pada.

Stadion zastyga, wysłuchując pięknych i jakże odpowiedzialnych słów, które wypowiada Gospodarz: „Dziękuję za ten bochen chleba. Obiecuję, że będziemy go dzielić sprawiedliwie, by starczyło go wszystkim Polkom i wszystkim Polakom".

Po gospodarku dokonuje obrachunku pożniwnego premier Piotr Jaroszewicz. Kończy się część wieńcowa widowiska i zaczyna prawdziwa zabawa. Znów pada deszcz.

— Ojejku, ale nagie! — krzyczy jakaś kobieta na widok grupy sportowców. — Jak oni wytrzymają?

Trudno wszystko zobaczyć. Mam przed sobą czyjś parasol oraz fryzowanego blondyna, który włożył na głowę plastykową torebkę z widokiem pałacu wilanowskiego. Sąsiad z prawej dziabie mnie w ucho parasolem, ten z lewej zaś co rusz trąca, obłapując czule towarzyszkę, która stopą obutą w drewniak przydeptuje marynarkę widza z porzodu.

Nagle w bramie wjazdowej pojawia się konna banderia — jedzie jamneńskie wesele z autentyczną młodą parą: Marią Jurczyńską i Tadeuszem Palmąką z chóru WZGS „Złote Kłosy". Trzy sektory na wprost trybuny honorowej, opanowane przez młodzież, ostrym dopingiem zmuszają konie do galopu.

Kiedy po raz pierwszy przygrzało słońce, zerwała się taśma i zespoły zastygły w bezruchu, ale wówczas ruszyły na odsiecz ze śpiewem sektory modzieżowe. A kiedy popłynęły słowa „Zasiali górale żyto", pokropił deszcz. Żeby lepiej rosło. A później pięknie wystrojone dziewczyny pogubiły na murawie wianki. Murawa z zielonej stała się brązowa, ponieważ tratowały ją trzy tysiące par nóg. Sportowcy byli w cichobiegach lub trampkach, artyści ludowi za to w butach z podkówkami.

W trakcie potężnej manifestacji finałowej rozległy się strzały i opuszczający stadion deptali sobie po piętach, mając oczy wzniesione w niebo, na którym pękały kolorowe obłoczki i płynęły niesione na spadochronach flagi. Niektóre ładunki nie eksplodowały, toteż przy rosnącym świście poniektóre rolniczki w podeszłym wieku wpadały pod ramiona sąsiadów.

3.

Grupa łódzka, reprezentowana przez delegatów czterech sąsiadujących województw, liczyła sto dwadzieścia dwie osoby. Byli to rolnicy indywidualni, pracownicy Spółdzielni Kółek Rolniczych, członkinie Kół Gospodyń Wiejskich, młodzież. Spośród delegatów województwa miejskiego łódzkiego warto wymienić Janinę Plocek, prowadzącą samodzielnie pięciohektarowe gospodarstwo ogrodnicze na Retkini i pełniącą funkcję przewodniczącej KGW, które obchodzi akurat piętnastolecie istnienia.

Złośliwi pytali z udawanym zdziwieniem, czy w województwie miejskim znajdują się też rolnicy, a bardziej złośliwi odpowiadali, że owszem, i że mają najlepiej zblokowane uprawy doniczkowe. Przy Piotrkowskiej. Jakby na przekór tym docinkom pośród stu sześciu odznaczonych w przeddzień dożynek rolników znalazł się Jan Michalak w Woli Rakowej. Prowadzi gospodarkę tradycyjną, ale dobrze utrzymaną i wydajną, pełniąc jednocześnie wiele funkcji społecznych. Jest przewodniczącym rady nadzorczej SOP, zasiada w radzie SKR, członek partii i radny GRN.

Pan Wanda nie miała kłopotów z grupą delegatów łódzkich. Łagodna i urocza, nie podnosząc głosu z uśmiechem przyjmowała zaloty jednego autokarowego wesołka, który udając przedszkolaka — intelektualistę, nazywał ją „naszą panią" oraz „słoneczkiem".

Natomiast przewodnik koszaliński gubił się wyraźnie. Mówił coś o wystawie i bykach jak smoki, a okazały się zwyczajne. Później wyznał szczerze, iż nie jest przewodnikiem, ale dostał z góry ofertę, nie do odrzucenia, więc musi, i aby się podciągnąć, śpiewał różne frywolne piosenki.

Nie oznacza to wcale, że w Koszalinie źle nas przyjmowano. Wprost przeciwnie, miasto było kolorowe, odświeżone, a mieszkańcy życzliwi i pełni serdeczności. Nie wszystko jednak mogło się udać, bo impreza gigantyczna, ludność miasta w dniu dożynek podwoiła się, a ponadto trochę zawiodła pogoda.

Dożynkom towarzyszyło wiele ciekawych imprez artystycznych, sportowych i handlowych. Wokół stadionu rywalizowały z sobą jarmarki „Społem" i WZGS. Na jarmarku „Społem" odchodziła głównie kaszanka na gorąco i radeberger, którego jednak podrzucono tylko dziesięć kartonów. Wszystko było nowe, stoliki i krzesła przed rożnami stały w wodzie, jakiś chłopiec w płaszczu siedział patrząc na pijących piwo i moczył spokojnie nogi. Zabrakło sanitariatów dla trzydziestu tysięcy, przeto część udręczonych włamała się do małego kibelka na zapleczu WZGS, obok którego jakaś babcia sprzedawała nielegalnie jeżyny z wiadra, pozostałe zaś przemoczone męskie oddziały obległy gremialnie płoty.

Zbudowano tysiące metrów parkingów i nowych ciągów komunikacyjnych. Mimo to znużeni milicjanci wpadali z rozkrzyżowanymi ramionami między usiłujące zderzyć się samochody i gwiżdżąc wyciągali spod kół roztargnionych pieszych.

Dymiły garkuchnie, obok pawilonów handlowych szerzył się taki większy odpust, z pierścionkami, balonami i gadającymi pudełkami po dwie dychy sztuka, z których za pociągnięciem sznurka wydobywał się głos kury, piejącego koguta i rozdzieranego żywcem kota. Odpustowe cuda miały większe wzięcie aniżeli rzeźby ludowe na Jarmarku Folklorystycznym przy Piastowskiej, albowiem tam najmniejszy okaz odchodził za siedem setek.

Nie sposób wyliczyć wszystkich imprez, a tym bardziej obejrzeć je. Wystawy, parady konne, koncerty, wycieczki statkiem w Kołobrzegu, regaty żeglarskie, imprezy towarzyszące Ogólnopolskiemu Zlotowi Młodzieży, to tylko część bogatego programu dożynkowego.

Była więc zabawa, jakieś drobne nieszczęście, wesoła przygoda. Ja osobiście w sposób paradoksalny, dokonując kolejnych zaślubin z morzem, stałem się człowiekiem wolnym, to znaczy zgubiłem obrączkę. Ale nie w falach Bałtyku, tylko w jakichś jeżynach na wydmach.

Na wystawie rolniczej przy Krasickiego, gdzie w kilkupiętrowych daczach znajdowały się ogórki do łokcia, kukurydza pod sufit i baseny z rybami słodkowodnymi oraz całe zestawy nowoczesnych maszyn rolniczych, Wojtek Siemion opowiadał bajki i krzyczał jako najemnik reklamy: „Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie!".

Zgubił się Jacuś Kozierowski i kiedy spiker to ogłosił, matka z wrażenia wpadłaby do basenu, z żywymi pstrągami, ale zatrzymała się na siatce ochronnej, skąd ściągnął ją młody ormowiec.

Poza tym wszyscy zdrowi.

INŻYNIER NA BUDOWIE

Dalszy ciąg ze str. 1

inżynierskich życiorysów w tym właśnie kraju... Wieś Kochów pod Opatowem, gospodarstwo rolne, gęsi, krowy, błądzenie na bosaka po ścierniskach... Potem „Wici" i Bataliony Chłopskie. Wreszcie frontowy walec, który rodzinną wioskę worał niemal w ziemię i raptem te bramy szeroko otwarte na wszystkie strony świata. Praca i studia. Wreszcie budowy, co jedna to większa i bardziej skomplikowana.

Nagle przyszło mi do głowy, że główny szef „Energobloku", więc inżynier Eugeniusz Gradowski, znalazł być może receptę. Może to on zgłębił tajemnice dowodzenia na tym inwestycyjnym froncie? Ależ wtedy szumiało za drzwiami. Barak zarządu stoi w samym Bełchatowie. Ma cienkie przepuszczalne ściany, wiadomo prowizorka, więc te ostre w tonie głosy niosły się bez przeszkód i o moje ucho też zawadzały. To ci dopiero był raban. Huczało, że te cienkie ścianki zdawały się chodzić.

— Więc może trzeba krzykiem?

Wieczorek spojrzał rozbawiony.

— Zależy, ale Wersal i białe rękawiczki nawet w ministerstwie nie zawsze są na miejscu. Gradowski był swego czasu dyrektorem departamentu w ministerstwie.

— Naraził się?

— Powiedział komuś jedno słowo za dużo. Pan wie jak to jest, trafił na kogoś, kto był mały, ale mógł wiele. Gradowski wcale tego nie żałuje. Za biurkiem czuł się źle. Jemu potrzebna przestrzeń, ruch, powietrze, coś się musi dziać, wtedy dopiero czuje się w swoim żywiole. On już Nową Hutę budował.

— Zdaje się, że to człowiek dynamiczny.

Wieczorek roześmiał się.

— Ma pan na myśli jego sposób prowadzenia rozmowy z „Transbudem"?

— Powiedzmy...

— Niech się pan nie dziwi, wszyscy jesteśmy już u kresu sił. Budujemy w rejonie Biłgoraju i dalej w kierunku Widawki duże zaplecze pod budowę tej pierwszej elektrowni, którą będzie opalał bełchatowski węgiel brunatny. Wozimy ogromne ilości kruszywa, cementu, stali, ale czym wozić, skoro „Tarnsbud" nawala? Przydzielono nam kilka „ziłów" i „berlietów" śmieszne, potrzebujemy dziesięć razy więcej tych ciężarówek. Gradowski nacisnął tych gości z „Transbudu". Dacie te wozy czy nie dacie, bo inaczej z wami pogadamy...

— Jednak transportowcy nie wyglądali mi na zbytnio zgaszonych.

— Prawda, oni się też stawiają. Co pan chce, tak po prawdzie nie dają rady. Jak my do nich dajcie... to oni w odpowiedzi, zgoda, ale może nie robić Skłęczek, może nie robić Działoszyna i Koluszek? Proszę wskazać komu zabrać, to my damy. Tam też priorytety, cementownia, odlewnia i tak dalej, tam też musi transport grać. Ja panu powiem te linki są za krótkie. Jak przyjeżdża do nas minister to my dalej w ten bęben, minister słucha, obiecuje, ale przecież i on nie wyczaruje ciężarówek spod ziemi. Te potrzeby są za duże, cały kraj woła, ale gdyby głowę spuścić i zmięknąć to byśmy chyba taczkami to kruszywo wozili. Trzeba ostro, Gradowski wie, co robi. Jeden człowiek nic nie znaczy, ale za to dużo może. Byle tylko się nie ugiąć. U nas trzeba czasem w stół pięścią. Milczeniem nic się nie zwojuje, kto milczy ten przyzwala. Tu się walczy. O wszystko się walczy. O ludzi, o sprzęt, o materiały, a jeszcze trzeba walczyć z czasem. Ma pan pojęcie jak napięte są terminy? No tak, ludzi mamy posłusznych, choć chłopi, których ostatnio zaangażowałem lubią niekiedy robotę markować, żeby sił zaoszczędzić do pracy przy bronie i trzeba ich przypilnować. Ludzi mamy posłusznych, tylko transportu brak. Już 600 osób przy zapleczu pracuje, roboty są ciężkie, betonowe. Magazyny trzeba wystawić, stołówki, hotele robotnicze, natryski, szatnie, drogi pobudować, żeby potem ci z kombinatu co mają stawiać elektrownię przyszli od razu do gotowego. Taki nasz los. Dla innych szykujemy te wygody.

Wieczorek wyszedł z wozu i stanął na drewnianym mostku.

— Ten most wytrzymuje 10 ton obciążenia. Kierowca mówi do mnie, panie ja nie pojadę... a przecież wozimy cement z Działoszyna, kruszywo wozimy z Łasku, Ruśca, ze Stobiecka, Antonówki, po 30—40 kilometrów trzeba się tłuc „ziłem" po wertepach. No i co mam robić? „Berliet" waży 10 ton, zabiera 20 ton kruszywa i raptem mu na drodze wyrasta ten mostek, co może udźwignąć 10 ton. Kierowca mówi, panie, mam żonę i dzieci, nie pójdę siedzieć... a ja to niby żony nie mam? Ale biorę to ryzyko, kładę głowę na tym pieńku, bo co mam robić? Ktoś musi przecież wziąć odpowiedzialność na siebie. Takich mostków tu zatrzęsienie. O drogach lepiej nie mówmy. Jak przejeżdżają nimi nasze ciężkie 22-tonowe koparki, to czuję jak mi serce tańczy w piersiach. Niech się kiedy taki kolos nakryje nogami na rozbitym i miękkim poboczu, dopiero rozszaleje się burza, dopiero polecą te gromy. Dobrze jak się na gromach kończy...

Jedziemy znów w stronę Biłgoraju, a Wieczorek teraz dopiero zdaje się być zdenerwowany.

— Transport to transport, a myśli pan może, że cement albo kruszywo to nam spada z nieba jak ta manna?

— Jakże, przecież inwestycja bełchatowska korzysta z wszelkich podobno priorytetów.

— Podobno... Otóż to, że podobno. Ludzie są, owszem chętni są nawet i posłuszni, ale najgorsze, że nic się nam nie bilansuje. Są pieniądze, są uchwały, są etaty, tylko, że nie ma czym robić. Mam teraz na Rogowcu kilkanaście ton kruszywa, a powinienem mieć minimum 300 ton. Skąd brać? Oto jest pytanie. Inna sprawa, że byłby czas wielki abyśmy przestali stawiać pytania i zaczęli szukać odpowiedzi.

— Dziwne, czego jak czego, ale piasku to przecież u nas nie brakuje.

— To się tak wydaje. Potrzebujemy żwir drobny, granulowany, gdy jest grubszy to ratujemy się oczywiście dosypką piasku, ale to sytuacji nie poprawia. Bez dobrego kruszywa nie ma dobrego betonu. Z oszczędności takiej inwestycji się nie zrobi. Wczoraj Furmański na Rogowcu miał łzy w oczach. Stanął z robotą z braku cementu, może człowieka zalać... Najgorsza jest niemoc. Każdy jest mocny kiedy ma oparcie w ludziach, ale jakie może mieć oparcie, kiedy raptem front robót się urywa i akord diabli biorą? Gdy dam, to jestem dla wszystkich dobry, ale jak nie dam, to ludzie śmieją mi się w nos. W tym roku przerabiamy w „Energobloku" 300 milionów złotych, ale w przyszłym to już trzeba będzie przerobić miliard. Wesoło, prawda?

— Ale na załamanego wcale pan nie wygląda.

Wieczorek znów spróbował uśmiechu.

— Muszę nadrabiać miną. Jak szef jest pełen optymizmu to i załodze humor się poprawia. Nie damy się. Kiedy budowałem zakłady Pietrusińskiego w Zgierzu, też same kłody leżały mi u nóg. A jednak... Człowiek jakoś sobie radzi. Jak Furmański oklapnął i te łzy mu się w oczach pokazały, to ja za telefon i do Działoszyna. Mam tam kolegę, pan rozumie. Bez wielkiego gadania przysłał mi 100 ton cementu z tamtejszej cementowni. W nocy nam ten cement dostawiono. Rankiem znów roboty ruszyły.

— Kumoterstwo...

— Co proszę? Jeśli nawet kumoterstwo, to jest to pozytywne kumoterstwo.

Wieczorek rozpogodził się.

— Inaczej się tego nie ugryzie. Kolega mnie, a ja koledze. W Stobiecku mówią, że dostawy kruszywa wstrzymują nam na tydzień bo niby urządzenia zepsute i trzeba ponaprawiać. Sugerują dostawy żwiru pospołu z gliną. Wypchajcie się, ja im na to, przecież domyślam się o co chodzi, widocznie pchnęli kruszywo na inną budowę, może dla huty „Katowice" i dla Bełchatowa zabrakło. Już my znamy te zagrania. Szukam żwiru we Wrocławskiem, do Gosławic jeżdżę za kruszywem a to było nie było 160 kilometrów. Ładna zabawa, co? Dziś ładowarka nawaliła, koparkę nam zabrano do Kutna, młynek nieźły, nie taka głowa by popuchła. A ile brakuje stali zbrojeniowej. Jak to na wielkiej budowie. Liczy się zapał, jak człowiek nie straci serca do pracy, to zawsze jeszcze wykrzesze z siebie nie taką energię. Tu budowa urzeka, jeszcze w życiu takich kolosów nie stawiałem... Jeszcze nigdy w tym kraju tyle nie budowano i dlatego te dwa końce się nie schodzą. Potrzeby są o wiele większe od możliwości. Nawet zwykłego kruszywa zaczyna brakować. Kopalnie żwiru nie nadążają... ale nie damy się.

Już po powrocie do Łodzi dowiedziałem się, że na posiedzeniu Prezydium Rządu podjęto decyzję w sprawie zmniejszenia ilości nowych inwestycji w tym właśnie roku. Chodzi o koncentrację środków na obiektach szczególnie ważnych dla narodowej gospodarki. Do takich właśnie inwestycji z całą pewnością należy bełchatowskie zagłębie węglowe.

JAN BĄBIŃSKI

TRAGEDIA NA MOTŁAWIE

KONRAD TUROWSKI

KATASTROFA

Piątek 1 sierpnia był jeszcze bardziej upalny niż inne dni tegorocznego lata. Już o 8 rano strzałka termometru przyklejonego do deski rozdzielczej samochodu przekraczała 25 stopni. C. Czarna wstęga szosy buchała żarem dokuczliwszym z każdą godziną. Nie było przed nim ucieczki, mieszał się z ostrym zapachem spalin, wypełniał kabinę wdzierając się przez otwarte okna. Radiowe komunikaty dla kierowców ostrzegały przed możliwością występowania objawów nadmiernego znużenia osłabiającego czas reakcji.

Główną drogą do Gdańska „E-83" ospale sunęła rozciągnięta kolumna fiatów, syren, wartburgów, trabantów, warszaw, skód i zaporożców z dachami obładowanymi wczasowym dobytkiem. Tylko od czasu do czasu forowały się do przodu szybsze samochody z zagraniczną rejestracją. Przychodziło im to łatwo. W przeciwnym kierunku prawie nikt nie jechał prócz ciężarówek pracowicie wypełniających swoje obowiązki, jakby na przekór powszechnemu pędowi ku brzegom Bałtyku nęcącym upragnionym chłodem i niezliczonymi atrakcjami mającego się nazajutrz rozpocząć Jarmarku Dominikańskiego.

O godz. 12 w gdańskim Domu Technika rozpoczynała się ogólnopolska konferencja prasowa poświęcona Jarmarkowi. Pół godziny wcześniej mijałem Tczew, gdy zgoła niespodziewanie wspaniała pogoda nagle się załamała. Od morza szybko nadciągały ciężkie, aż granatowe chmury rozjaśniane ognistymi zygzakami błyskawic. Po chwili lunęło z taką siłą, że samochody z trudem przebijały się przez ścianę deszczu. Wokół wszystko stanęło w wodzie, która parowała na rozgrzanych ulicach. Było to oberwanie chmury jakiego od lat nie notowano w rejonie Trójmiasta. Trwało krótko. Słońce w całej krasie swego blasku już wróciło, gdy trębacz na wieży mariackiej w Krakowie kończył ostatnie takty hejnału. Parne powietrze dawało się teraz jeszcze bardziej we znaki. Prawie setka uczestników konferencji prasowej, zmęczonych upałem i przeszło dwugodzinną tyradą liczb obrazujących rozmach przygotowań do Jarmarku, z wyraźną ulgą przyjęła zapowiedź, że organizatorzy na godz. 15.30, zarezerwowali wodolot „Poszum" by wszyscy mogli odbyć morską przejażdżkę połączoną ze zwiedzaniem Portu Północnego. — Bardzo prosimy — mówił red. Wojciech Święcicki z „Wieczoru Wybrzeża", który przed czterema laty zaproponował wznowienie na współczesny użytek handlowej imprezy o tradycjach sięgających XVI wieku — by nikt się nie spóźnił na przystań na Motławie, bo wodolot nie może czekać...

Gdańskie ulice pełne były turystów. Bez pośpiechu spacerowali wypatrując ciekawszych obiektów do fotografowania. W potokach samochodów próżno szukających miejsc do parkowania, najmniej było z gdańskimi numerami. Na pewno nie odbiegały od stanu faktycznego dane szacunkowe wskazujące, że na przełomie lipca i sierpnia przebywało tu ok. 3 mln przyjezdnych. Stary gród nad Motławą był przepełniony do granic możliwości.

Pomny przestrogi, a może bardziej łakomy wypoczynku na pokładzie „Poszumu" po kilkugodzinnej podróży w nieznośnym upale, już o godz. 14.30 ruszyłem w kierunku przystani na Motławie. W tym samym czasie skończył swój dyżur starszy bosman Jerzy Popielarski. Zmiennik, który miał go zastąpić trochę się spóźnił. Południowa ulewa podmyła w kilku miejscach tory tramwajowe i zdezorganizowała komunikację miejską. Musiał przepuścić kilka zatłoczonych autobusów nim wreszcie do kolejnego zdołał się dopchać by przyjechać do pracy. Ale Jerzy Popielarski nie śpieszył się do domu. Jeszcze przez chwilę rozmawiali obaj o trudnej do wytrzymania spiekocie nim wyszedł z budynku Bosmanatu na Motławie, gdzie pracuje już przeszło dwadzieścia lat czuwając nad bezpieczeństwem żeglugi na kanale i respektowaniem przepisów przez załogi pływających tu jednostek.

Obaj, nic jeszcze o sobie nie wiedząc, mieliśmy się spotkać i poznać przy przeprawie promu nr 2, w miejscu gdzie Martwa Wisła łączy się z Motławą...

— Szedłem w kierunku domu — mówił mi — gdy usłyszałem syrenę statku. Obejrzałem się, to była „Maryla". Płynęła zgodnie ze swoim rozkładem rejsów pasażerskich z Helu do Gdańska. Za dwie, trzy minuty, o godz. 14,45, miała zacumować w przystani koło bramy Chlebnickiej. Sygnał statku przeznaczony był dla przewoźnika promu nr 2. Zgodnie z obowiązującymi przepisami dotyczącymi bezpieczeństwa żeglugi na kanale, syrena miała zwrócić uwagę promiarza, że płynie statek i od tej chwili nie wolno mu uruchamiać promu aż do czasu, gdy „Maryla" minie punkt przecięcia się jej drogi z trasą promu. Gdyby kapitan zauważył, że prom już odbija od brzegu miałby obowiązek zatrzymać statek...

Prom nr 2 był na prawym brzegu Motławy i dopiero szykował się do przeprawy. W jego żelaznym korycie zajęło miejsca kilkadziesiąt osób, które chciały suchą nogą przedostać się przez rzekę. Z tego środka transportu korzystali niemal wyłącznie pracownicy pobliskich zakładów — metalowych, rzeźni, przetwórni rybnej i przedsiębiorstwa hydrogeologicznego. Prom skracał im drogę do pracy bądź do domu. W przeciwnym razie musieliby nakładać drogi dochodząc do odległego o kilometr mostu. Za przewóz żadnych opłat nie pobierano. Gdy już zebrało się dość pasażerów promiarz wychodził na dziób i rozglądał się, najpierw w lewo czy nie płynie jakiś statek z prądem rzeki, a następnie w prawo — czy nie wraca z Bałtyku. Gdy upewnił się w ten sposób, że droga jest wolna włączał silnik spalinowy, który podnosił leżącą dotąd na dnie stalową linę, napężał ją aż zaczynała ciągnąć prom na przeciwległy, oddalony o ok. 50 metrów, brzeg.

W identyczny sposób pracował prom nr 1. Obowiązywały go te same zasady bezpieczeństwa. Tego dnia jednak nie pływał. Unieruchomiono go na czas Jarmarku Dominikańskiego. W miejscu, gdzie przybijał do lewego brzegu kanału w pobliżu portu pasażerskiego na Motławie, Centrala Rybna urządziła efektowną, pływającą smażalnię fląder...

W chwili, gdy bosman Popielarski usłyszał syrenę „Maryli", większość jej pasażerów korzystała z pięknej pogody opalając się na pokładzie. Miejsca było dużo bo obliczony na 240 osób statek nie miał kompletu. 28-letni Karol B., technik-mechanik z Lublina, siedział wygodnie rozparty na ławce na rufie statku. Przyjechał na urlop do swoich krewnych mieszkających na Helu. Wybrał się „Marylą" by zwiedzić Gdańsk. Rejs przebiegał monotonnie. Statek płynął jak po jeziorze, wcale nim nie kołysało. — Zaskoczenie wśród pasażerów i załogi statku było więc całkowite — opowiadał Karol B. — gdy „Marylą" nagle szarpnęło. Zewsząd podniósł się krzyk przerażenia: — Prom tonie!!... Zobaczyłem, że duża łódź przy brzegu pogrąża się w wodzie, jakby do dna ciągnęła ją jakaś potworna siła. W rzece zrobiła się wielka dziura i w oka mgnieniu zniknął w niej prom wraz z pasażerami. Tylko ci, którzy stali przy burtach chyba zdołali się uratować. Inni nie mieli żadnych szans...

Gdy kapitan „Maryli" wydał rozkaz „Maszyny stop!" i natychmiast go spełniono, Motława napowrót już płynęła swoim majestatycznym nurtem, najzupełniej nieczuła na rozgrywający się dramat. Ci, których szczęśliwym zbiegiem okoliczności rzeka nie pochłonęła, rozpaczliwie walczyli o życie. Woda znosiła siatki z zakupami, które wypłynęły na powierzchnię.

Taki obraz utrwalił na kliszy swojej „Smieny" pewien turysta z Wrocławia. Choć miał aparat przygotowany do zdjęć, gdy nacisnął spust migawki rzeka już pochłonęła prom...

Z „Maryli" rzucano koła ratunkowe ale odległość była zbyt wielka by doszły celu. Dwaj marynarze skoczyli do wody. Rzucili się też na ratunek przypadkowi świadkowie tragedii z obu brzegów kanału. By dopłynąć do tonących trzeba jednak było czasu. St. bosman Jerzy Popielarski zdołał przyholować do brzegu jakiegoś mężczyznę. Skoczył do kanału jeszcze raz. Wyłowił drugiego ale już martwego...

Gdańsk wypełniło przeraźliwe wycie syren dziesiątków karetek Pogotowia Ratunkowego i radiowozów milicyjnych kierowanych na miejsce tragedii. Wstrzymano wszystkie rejsy na Motławie. Nic nie mogło jednak odwrócić tego co już się stało. Płetwonurkowie w aparatach tlenowych tylko wyciągali zwłoki. Tłum gromadzący się nad kanałem stał milczący w poczuciu swojej całkowitej bezsilności wobec nieszczęścia nie mającego precedensu. Pozostawała jedynie nadzieja, że liczba ofiar nie będzie wielka. Miasto jeszcze było nieświadome rozmiaru tragedii. Na niebie krążył sportowy samolot z transparentem „Jutro Jarmark", gdy wydobyto ciało drugiej ofiary...

Płetwonurkowie z trudem penetrowali rzekę. Po omacku przeszukiwali wodę niemal czarną od olejów i smarów. Zanurzali się aż do dna pełnego mielizn. Dopiero jednak po godzinie natrafili na trzecie zwłoki. W zaciśniętej dłoni mężczyzna kurczowo trzymał teczkę...

Do wydobycia promu sprowadzono pływający dźwig. Nie było już nadziei na uratowanie kogokolwiek. W żelaznym korycie były ciała siedmiu osób — w tym kobiety w ciąży...

Mieszkańcy Gdańska, miasta o bogatych tradycjach morskich szczególnie wyczuleni na wszystko co dzieje się na odach, byli głęboko wstrząśnięci tragedią na Motławie. Jarmark Dominikański ograniczono tylko do imprez handlowych.

Nazajutrz, w sobotę, ukazało się wcześniej zapowiadane wydanie specjalne „Wieczoru Wybrzeża", które miało być w całości poświęcone Jarmarkowi. Gazeta przyniosła krótki komunikat urzędowy informujący, że w nurtach Motławy zginęło 18 osób — w tym trzy kobiety. Wszystkie ofiary były mieszkańcami Trójmiasta...

Spośród pasażerów promu nr 2 uratowało się 19 osób. Znalazł się w tym szczęśliwym gronie przewoźnik. Stał na dziobie promu by obserwować jak lina się napręża, gdy zorientował się w niebezpieczeństwie. Skoczył do wody i od razu popłynął na drugi brzeg, gdzie obok silnika naprężającego linę miał ubranie w którym przyszedł do pracy. Ci, którzy go widzieli mówią, że sprawiał wrażenie jakby nie rozumiał co się stało. Z dziwnym spokojem ściągnął z siebie ociekające spodnie i założył suche. Nie oglądał się na rzekę, chciał iść do domu ale przyjechały już pierwsze radiowozy MO...

Ustalając przyczyny tragedii na Motławie wydobyto „Marylę" na tzw. slip by dokonać oględzin jej kadłuba. Widać było wyraźnie, że lina promu uderzyła w dno statku w odległości 3/4 od jego dziobu. Dalej, aż do śruby okrętowej, dokładnie zgarnęła wszystkie wodorosty i muszelki. Szczątki stalowej liny znaleziono między skrzydłami śruby, która całą mocą swoich kilkuset koni mechanicznych ją porwała ściągając prom pod wodę...

Wyliczono, że tragedia na Motławie trwała z górą 26 sekund. „Maryla", która ma długość 35 metrów płynęła z szybkością 5 węzłów. Przy takiej szybkości statek przepływał 35 metrów w 13 sekund. Na zatrzymanie go potrzeba było 5—6 sekund, w czasie których przepłynął ok. 20 metrów. Z możliwie największą szybkością załoga „Maryli" zareagowała na wypadek skoro statek stanął w odległości 70 metrów od miejsca w którym przeciął drogę promu...

W żadnym razie nie doszłoby do tragedii, gdyby lina promu leżała na dnie Motławy, która w tym miejscu ma głębokość ok. 5 metrów. „Maryla" zanurza się bowiem tylko na głębokość 2,20 m. Ale widać promiarz, który od kilkunastu lat przewoził pasażerów z jednego brzegu na drugi, pewien był że statek spokojnie przepłynie nim silnik wyciągnie linę na powierzchnię. Może zapomniał, że przed tygodniem wymieniono starą, mocno już wyciągniętą linę promu, na nową którą teraz silnik szybciej naprężał?...

Fot.: Konrad Turowski

WĘGIERSKA GOŚCINNOŚĆ

Mówi się, że Węgrzy są gościnni. Oni są zwariowani na punkcie gościnności.

Z autobusu wycieczkowego, który mnie wziął z samej granicy czesko-węgierskiej, wyskoczyłem wprost na tłoczną ulicę Budapesztu. Moja penpal-girl mieszkała w dzielnicy Sashałom. Licho wie, gdzie to jest. Patrzę w tłum i nie wiem, kogo tu zahaczyć. Wybieram niepozornego człowieczka w roboczym kombinezonie i z teczką w ręku. Nic nie rozumie po niemiecku, ale po chwili coś zaczyna mu świtać, chce coś powiedzieć, ale nieliczne słowa, poznane w szkole, ani rusz nie chcą mu się przypomnieć. Ciągnie mnie za rękaw. Wsiadamy do autobusu.

Pokazuję mu adres. Moja korespondencyjna znajoma z „Radaru", o pięknie brzmiącym imieniu Ildike mieszka na ulicy A. Szent-Györgyi'ego. Myślałem, że mi pokaże, gdzie to jest, tymczasem pierwsze, co ten Węgier zrobił, to zawiózł mnie do siebie do domu.

Ildike mieszka na ulicy Albert Szent-Györgyi'ego — mówię, ale on śmieje się radośnie i wskazuje na siebie.

— A Lászlo mieszka na ulicy Bronza!

Lászlo z żoną Mariką i starą matką mieszka w sędziwym domu w ogrodzie. Widać, że im się nie przelewa. Przyjęcie jest jednak cudowne, bo jest w tym sporo serca. Lászlo odkurza podręcznik do niemieckiego. W ciągu kilku dni zrobi niebywałe postępy. Teraz, nakarmiony już i opity do woli, mogę, zdaniem nowego przyjaciela, ruszać na podbój serca mojej węgierskiej przyjaciółki po piórze.

Wsiadamy na motor, jedziemy na A. Szent-Györgyi. Ku naszemu zaskoczeniu domostwo jest zamknięte na głucho. Nie ma rady, trzeba wracać. Laszlo bierze mnie na powrót do domu. Proponuje, żebym w ogóle tam nie jechał, tylko został u nich. Koło północy jedziemy drugi raz, ale drzwi są nadal zawarte.

Spędziłem u Lászla dziesięć dni. W dzień przyjazdu nie miałem ani forinta. Gdy nazajutrz o świeżym poranku ruszyłem w miasto, Lászlo bez żadnych ceregieli wręczył mi 100 forintów „na drobne wydatki", a przecież byłem nie znanym mu międzynarodowym trampem. Włócząc się po mieście wymieniłem w Magyar Nemzeti Bank na ulicy Rakoczego złotówki na węgierską walutę i wieczorem forsę mu oddałem. Zawsze będę jednak pamiętał to, jak bezinteresownie robi się coś dla kogoś.

Odstąpiono mi osobny pokój, w którym był tylko tapczan, ale i tak więcej mi nie było trzeba. Zapraszano mnie do stołu i to prawie gwałtem. O ile się dało, wymykałem się z domu wczesnym rankiem i wracałem ciemną nocą, gdy już pustoszała góra Gelerta. Rzadko jednak udawało mi się wymknąć niepostrzeżenie, bo przed domem wygrzewał się zwykle miły kundel Bori, który witał mnie wesołym ujadaniem, o ile, oczywiście, nie miał innych nie cierpiących zwłoki spraw do załatwienia na sąsiednich podwórkach. Przyłapany na próbie dezercji musiałem pochłaniać końską porcję jajecznicy z płatami gorzkiej papryki. Krzywiłem się. Nie wiedziałem jeszcze, co dobre na tym świecie.

Wieczorami na mnie zwykle czekano z kolacją. Jedzenie było skromne, ale węgierska serdeczność biła na głowę nawet marcepany. Podczas wieczornych dyskusji o związkach łączących Węgrów z Polakami, dowiedziałem się, że imię mojego przyjaciela jest rodem z Polski (Władysław), podobnie jak imię Tibor (Czcibor). W gwarze tych rozmów padały również miłe uchu nazwy jak „tokaj". (którego jedna z odmian nosi nazwę o polskim źródłosłowie — „Szamorodni") czy „węgrzyn". Trunki te jednak nie zagościły w tym czasie na stole.

Jakież było moje zdziwienie, gdy w dwa miesiące później otrzymałem w Bułgarii list od Lászla, który pisze w nim wręcz:

„Kochany Teddy, w drodze powrotnej do kraju zawadź o Budapeszt, to wpadniemy na lampkę tokaja, bo teraz mam pieniądze".

W drodze powrotnej wpadłem do Budapesztu i skorzystałem z propozycji. Ale to już inna historia.

TADEUSZ WOJNICKI

FILM

PRZEMINĘŁO Z WIATREM

Fabuła „Wielkiego Gatsby'ego", atmosfera tej powieści, konstrukcja psychologiczna ludzkich losów, ich społeczna kondycja składają się na bardzo charakterystyczny idiom amerykańskiego stylu życia. Dla nas jest w nim wielka egzotyka, która rodzi się zawsze z oszałamiającego bogactwa gigantycznych karier finansowych, ale egzotyka wytarta już i zużyta poprzez eksploatację ciągle tych samych wzorców fabularnych, gdzie wielkim pieniądzom nieodłącznie towarzyszy wielka miłość. Stąd wrażenie kiczu, które łatwo wynosimy zarówno z kina jak i z lektury samej powieści Francisa Scotta Fitzgeralda. Jednakże to, co nam może się wydać banalne, naiwne i szmirowate, bo odbierane przez filtr trzeciorzędnej literatury, w Ameryce stoi mocno na gruncie społecznej i psychologicznej prawdy, wyraża najistotniejszy sens duchowy tamtego społeczeństwa, jest żywym i trwałym symbolem, esencją amerykanizmu.

Warto zatem przypomnieć, że napisany przez Fitzgeralda w 1925 r. „Wielki Gatsby" stał się biblią pokolenia lat 20-tych, które wydało Hemingwaya, Dos Passosa, Faulknera i które przeszło do literatury pod nazwą „straconego pokolenia". Fitzgerald w swojej powieści doskonale utrwalił ten klimat uczuciowy życia zanurzonego we frustracjach, w wiecznej chandrze i melancholii, poczuciu niespełnienia topionego w alkoholu i zagłuszanego szaleńczym rytmem jazzu. Ale „szalone lata 20-te" to nie tylko spleen dławiący młodych Amerykanów po powrocie z europejskich pól bitewnych. To również okres ogromnej prosperity gospodarczej sprzyjającej gromadzeniu bajecznych fortun, których pochodzenie ginie częstokroć w mrokach brudnych machinacji. W tych latach rodzi się typ amerykańskiego milionera, selfmademana pochodzącego częstokroć z nizin społecznych a osiągającego legendarne szczyty bogactwa. Fitzgerald jako pisarz był zafascynowany bogactwem, jego psychologią i mitologią i ten główny motyw jego utworów wywodził się z jego biografii. „To było moje stałe doświadczenie — pisał — biedny chłopiec w mieście bogaczy, biedny chłopiec w szkole bogaczy (...) nigdy nie byłem zdolny przebaczyć bogaczom tego, że byli bogaci i to zaważyło na całym moim życiu i twórczości". A na temat „Wielkiego Gastby'ego" oświadczył: „Istotna treść tej powieści to nieznośna sytuacja młodzieńca, który nie ma grosza, a chciałby poślubić pannę z pieniędzmi. Temat ten wciąż się u mnie powtarza, bo sam go przeżyłem".

Jednakże Fitzgeralda nie interesuje ciernista droga materialnego awansu — jego bohatera poznajemy już w pełnym blasku sukcesu, arkadyjskiego szczęścia i wyrafinowanej konsumpcji dóbr doczesnych. Pisarza zajmowała przede wszystkim psychologia, moralność, styl i sposób bycia „klasy próżniaczej". Sam Gatsby jest w tym świecie postacią obcą i tajemniczą. W szampańskich zabawach, które odbywają się każdego wieczora w jego ekskluzywnej rezydencji on sam nie uczestniczy. Trzyma się z dala od szalejącego za jego pieniądze tłumu drążony wielką i niespełnioną miłością. W postawie Gatsby'ego wobec życia tkwi niezwykle znamienny motyw amerykańskiej mentalności: wielkie bogactwo zderzone z idealną tęsknotą za uczuciem czystym i nieskalanym a jednocześnie niedostępnym. Jednocześnie ta uczuciowość namiętna jest podszyta sentymentem — jak na nasz gust — nadto ckliwym, nadto infantylnym, właśnie! — kiczowatym. Przypomnijmy innego bohatera amerykańskiej galerii mitologicznej: oto Charles Foster Kane, milioner prasowy z klasycznego filmu Orsona Wellesa, którego tajemnica egzystencjalna zdaje się zawierać w magicznych atrybutach szczęśliwego dzieciństwa. Te postacie wyrażają pewną niedojrzałość emocjonalną amerykańskiego ideału, niedojrzałość stowarzyszoną z imponującą aktywnością życiową oraz silnie rozwiniętym instynktem walki o możliwie największe miejsce na ziemi.

Zdawałoby się, że Jackiem Claytonem sięgającym po książkę Fitzgeralda w celach adaptacyjnych kierowały poważne, a wywiedzione z własnej twórczości motywacje. Bowiem Clayton, autor pamiętnego „Miejsca na górze" należał ongiś do generacji o podobnym do „straconego pokolenia" rysopisie moralnym. Myślę o „angielskich gniewnych" i ich zamachu na pozycje bogatych i uprzywilejowanych. „Wielki Gatsby" w kinie jest adaptacją niezwykle pieczołowitą i sumienną, dokładną rekonstrukcją literackiej fabuły, opisów postaci i zdarzeń. Niestety, przy całym pietyzmie reżysera, który starał się nie uronić ani jednej stronicy powieściowego oryginału powstał film — jak to zwykle bywa w takich sytuacjach — chłodny, choć wspaniały i majestatyczny w swojej materialnej powierzchni i nużący, mimo iż starannie imitujący psychologiczny wyraz i emocjonalny gest bohaterów. Dlaczego tak się stało? Myślę, że „Wielki Gatsby" należy do tych utworów literackich, które przeszły do legendy dzięki swoistej intuicji artystycznej z jaką autor potrafił odsłonić niepowtarzalny splot niepokojów egzystencjalnych, które były udziałem danej generacji. „Wielki Gatsby" Fitzgeralda żywił się bez reszty duchem czasu, w którym powstał, ulotnym duchem uczuć, pragnień, który przeminął z wiatrem. „Wielki Gatsby" Claytona, efektowna rewia mody retro jest retrospektywą zastygłych figur woskowych, misternym naczyniem, z którego wyciekły niegdysiejsze wzruszenia i sentymenty.

T. SZCZEPAŃSKI

SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH

Fot.: Włodzimerz Parys

JADWIGA TURSZAŃSKA

Jadwiga Turszańska urodziła się 24 stycznia 1901 roku w Warszawie. Ukończyła jeden z najstarszych uniwersytetów europejskich — Université de Grenoble. W latach 1920—1932 pracowała w szkolnictwie średnim jako nauczycielka języka francuskiego. Podczas drugiej wojny światowej przebywała w Związku Radzieckim, a po powrocie do kraju zamieszkała w Łodzi.

Debiutem prasowym Turszańskiej był fragment prozy, zamieszczony w 1948 roku, debiutem książkowym zaś zbiór opowiadań „Znajomi z Radłowa" wydany przez „Książkę i Wiedzę" w roku 1950. W pięć lat później nakładem „Czytelnika" ukazała się jej powieść „Świt nad jeziorem", podpisana nazwiskiem: Turszańska-Obarska. Jak widać, skromny to dorobek, przeoczony zresztą przez krytykę (doliczyć się można kilku zaledwie recenzji, choć niektóre, pióra Jacka Trznadla i Zbigniewa Żabickiego, są obszernymi omówieniami), później pomijany w syntezach i podsumowaniach powojennej literatury polskiej, dziś jest już właściwie zupełnie zapomniany. Nie sądzę, aby tak się stało, gdyby autorka pisała nadal, bo te dwie książki, które opublikowała w latach pięćdziesiątych, pozwalały rokować na przyszłość jak najpomyślniej.

Podjęta w nich tematyka, związana po części z własnymi wspomnieniami (zwłaszcza w „Znajomych z Radłowa"), a zarazem odpowiadająca wymogom ówczesnej polityki kulturalnej, miała pokrycie w poważnym, a przez literaturę naszą na ogół omijanym, rozdziale polskich doświadczeń — losie Polaków, którzy w czasie ostatniej wojny znaleźli się na rozległych terenach Związku Radzieckiego. Bez wypełnienia wskazanej luki wszechstronnym losu owego zobrazowaniem trudno wyobrazić sobie literacką sumę epoki, w której dokonała się dziejowa reorientacja Polski.

Trzeba sobie bowiem uprzytomnić, że wojna rzuciła miliony rodaków na tułaczą wędrówkę przez wszystkie niemal kontynenty i morza, wielu z nich mogło powiedzieć o sobie słowami Norwida: „dom mój ruchomy / Z wielbłądziej skóry (...) ziemi tyle mam, / Ile jej stopa ma pokrywa, / Dopokąd idę!..." Szlaki te wiodły także przez step i tajgę, żołnierskimi drogami na Iran i na Lenino, przez repatriacyjne punkty. Fragmenty tej polskiej odysei zapisane są w pamiętnikach żołnierzy i działaczy, wobec śmiertelnego zagrożenia ojczyzny poszukujących dla niej nowych szans, rozproszone są też w licznych utworach literackich (godzi się tu wspomnieć choćby o ukończonym niedawno, interesującym cyklu powieściowym Haliny Auderskiej). Brakuje jednak dzieła, które by z szerokim epickim rozmachem i głębią ogarnęło całość sprawy, toteż roztropniej byłoby zachować w obiegu kulturalnym już istniejące świadectwa, nawet jeśli grzeszą nie dość starannym szlifem literackim, uległością wobec sez nowych schematów, a cel obierają skromny — utrwalenie epizodu, anegdoty, atmosfery minionych dni.

Taki właśnie horyzont poznawczy zakreślony został w „Znajomych z Radłowa". Akcja pięciu opowiadań („Brzozy pod oknami", „Tatiana", „Znajomi z Radłowa", „Rudzielec", „Dziwne podobieństwo") rozgrywa się w małych, rozrzuconych wśród puszczy nadwołżańskiej, wioskach Autonomicznej Republiki Maryjskiej. Jest to wycinek głębokiego zaplecza gospodarczego, które wykonuje swoje wojenne zadania głównie dzięki pracy kobiet, zastępujących mężów, braci i synów, którzy poszli na front. Pamięć i troska o ich los organizują całe życie duchowe miejscowej społeczności, niespokojnie oczekującej na każdą wiadomość, list pogłoskę, rozpamiętywane w wiejskiej gromadzie, w samotności, przez długie miesiące niepewności i nadziei. W tym specyficznym otoczeniu, osieroconych rodzin, okaleczonych stratą najbliższych, na kołchoźniczych kwaterach rozlokowała się kolonia polska, również matczyno-dziecięca, również zatroskana i szukająca pokrzepienia.

Turszańska pisze o tym, co pozwoliło przetrwać w trudnych latach niedostatku, w surowym klimacie, w krytycznych sytuacjach bytowych, co umożliwiło „powrót do Itaki" — o pomocy i solidarności, współczuciu i poświęceniu, okazywanych przybyszom z dalekiej Polski. Niektórych krytyków irytowało to, że motywacje tych bezinteresownych świadczeń nie obwarowane zostały racjami doktrynalnymi, że wynikały z najprostszych odruchów ludzkich, że tak spontanicznie i bez światopoglądowej racjonalizacji realizowały się w codziennej praktyce podstawowe wartości — więź międzyludzka, nieobojętność na los bliźniego, odpowiedzialność moralna. Wszystko to wydawało się „małe", zbyt pospolite, pozbawione efektowniejszej oprawy — oto ktoś użycza bryłkę masła, butelkę nafty, zabiega o podstawowe lekarstwa, wspomaga dobrym słowem, dzieli się baraniną, opiekuje chorym dzieckiem, jednym słowem, niesie pomoc wtedy, gdy niebezpiecznie słabną siły w walce o egzystencję zagrożoną przez głód, mróz, chorobę, samotność. Dziś widać jednak, że ten rzekomy „minimalizm" pisarki, rzetelność jej mikroobserwacji, niewyszukana kompozycja (choć zarazem bardzo staranny, a w niektórych partiach opisowych, zwłaszcza w opisach przyrody, wręcz świetny styl), powściągliwość komentarza — są to właśnie zalety tej prozy. Ten obraz po prostu budzi zaufanie.

Nie znaczy to, że brakuje usterek merytorycznych i literackich; Turszańska np. nie wydobywa etnicznej specyfiki regionu, o którym pisze, a ma on bogate tradycje narodowe, usankcjonowane prawnie dopiero po zwycięstwie rewolucji. Gdy czytamy o Tatianie, Soni, Maszy, Wołodii, czujemy się jakby wśród Rosjan i to poczucie zamazuje rzeczywistość maryńskiej republiki. Świat „dobrych ludzi" wymodelowany został wedle popularnych wzorców, masowo stosowanych w literaturze przeznaczonej ad usum Delphini. Mimo te niedoskonałości, w dużej mierze wynikające z ducha czasu, wspomnieniowa proza Turszańskiej w porównaniu z innymi, z demagogicznym wigorem tworzonymi kreacjami pozytywnych bohaterów, zachowuje umiar realizmu i nie razi dzisiejszego czytelnika. Nie ma w niej zajmujących fabuł, ani natrętnych heroizacji, autorka nie wyolbrzymia faktów, dba o solidność przedstawienia tzw. prozy życia, realiów powszedniości. Toteż nic dziwnego, że jedna z recenzentek przyznała się swego czasu w „Życiu Literackim", że przy lekturze „sugestia autentyzmu jest tak silna, że mimo woli oglądamy się za nazwiskiem tłumacza". Opinia ta dotyczyła „Świtu nad jeziorem", powieści o kolektywizacji w pierwszych latach władzy radzieckiej w Republice Maryjskiej, książki napisanej znakomitym stylem, lecz z dość schematycznym rysunkiem postaci, ale sąd ten z powodzeniem odnieść można do bardziej zajmujących polskiego czytelnika, opowiadań z pierwszego tomu Turszańskiej.

JERZY RZYMOWSKI

PLASTYKA

KAROL BARSZCZEWSKI

CO TO JEST „ART"?

Można by na to pytanie odpowiedzieć krótko: „Art" jest instytucją pożyteczną i potrzebną. Komu? Miastu, jego mieszkańcom czyli nam wszystkim oraz dużemu i prężnemu środowisku plastyków działających twórczo i aktywnie we wszystkich dziedzinach sztuki. I można by na tym artykuł niniejszy zakończyć, ale żeby nikt nie zarzucił mi, że operuję ogólnikami, podam na poparcie powyższych stwierdzeń kilka przykładów.

Wszyscy chcemy żyć i pracować nie tylko coraz lepiej, ale i coraz piękniej. Używam tu celowo tego wyświechtanego, staroświeckiego, wstydliwego dziś i niemodnego słowa „piękniej" — a mam na myśli urodę, estetykę naszych miast i osiedli, których ulice przemierzamy codziennie, estetykę miejsc pracy i naszych mieszkań, estetykę sklepów, w których dokonujemy zakupów i miejsc naszego wypoczynku, niedzielnego spaceru; wreszcie estetykę miejsc, do których idziemy, aby spotkać się ze sztuką — teatrów, kin, sal koncertowych... Chcemy, żeby to wszystko co nas otacza, z czym stykamy się na co dzień, było coraz piękniejsze. Żeby zaspokajało nie tylko nasze aktualne potrzeby życiowe w możliwie najlepszy i najpełniejszy sposób, ale żeby cieszyło również nasz wzrok, żeby sprawiało, że doznajemy przyjemności przebywania w naszych mieszkaniach i przy stanowiskach pracy, w chodzeniu po ulicach swojego osiedla; prostej ludzkiej przyjemności, wynikającej z brania do ręki przedmiotów codziennego użytku, wykonanych nie tylko pod kątem funkcji, ale również z myślą o ich wyglądzie estetycznym. Na tych bowiem dążeniach i tęsknotach zasadza się m. in. mądrze i nowocześnie pojęta NOWOCZESNOŚĆ, do której dążymy wszyscy i którą z takim mozołem budujemy.

Organizacją i tworzeniem estetyki naszego otoczenia od lat zajmują się plastycy. Są oni odpowiednio przygotowani do podjęcia każdego postawionego przed nimi zadania. Pozytywnym przykładem aktywizacji łódzkiego środowiska plastycznego, jego działalności na rzecz miasta i poszczególnych instytucji i przedsiębiorstw są działające w Łodzi pod patronatem Związku Polskich Artystów Plastyków Zakłady Artystyczne „Art". Działalność tych Zakładów zasadza się przede wszystkim na konkretnej pracy opartej o przemyślany i perspektywiczny plan usług na rzecz społeczeństwa. Zapotrzebowanie miasta na owe usługi jest ogromne, a zatem ogromna jest odpowiedzialność, jaką wzięły na swoje barki Zakłady Artystyczne. I tak stało się faktem, że Zakłady przy wydatnym poparciu Zarządu Okręgu Łódzkiego ZPAP i aktywnej współpracy środowiska plastycznego włączyły się twórczo we wszystkie ważkie problemy miasta i Ziemi Łódzkiej. Zarówno w zakresie szeroko pojętego upowszechniania kultury plastycznej jak również mądrze i nowocześnie rozumianej ekonomiki kulturalnej.

Lista realizacji „Art-u" i lista zadań czekających na realizację zajęłyby całą kolumnę albo i dwie. Przypomnijmy więc tylko niektóre. A więc prezentacja Łodzi i województwa w Panoramie XXX-lecia w Warszawie — zestaw ekspozycji zleconych do realizacji Zakładom Artystycznym uzyskał wysoką notę władz politycznych i społeczeństwa. Dalej, Ogólnopolskie Targi Tkaniny Artystycznej, zainicjowane i organizowane przez „Art" okazały się imprezą ciekawą i pożądaną. Ponadto poprzez Zakłady Artystyczne zrealizowany został Pomnik Czynu Rewolucyjnego w Parku Kultury i Wypoczynku na Zdrowiu, którego projektantami są Kazimierz Karpiński i Wacław Wołosewicz. Opracowano też pod auspicjami Zakładów projekty i realizacje dla Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego w Radogoszczu (wnętrza — zespół pod kierunkiem Stanisława Cukrowskiego; rzeźby — Karpiński i Wołosewicz). Zespół Zakładów Artystycznych: prof. Władysław Bojkow, Antoni Biłas i Zdzisław Głowacki opracował i wykonał komplet projektów i realizacji we wnętrzach Domu Rencisty przy ul. Krzemienieckiej. „Art" uczestniczy w organizacji I Międzynarodowego Triennale Tkaniny w Łodzi. Włączył się również aktywnie w palący problem zabytków — przykładem działalności w tej dziedzinie są prace nad rekonstrukcją wnętrz Banku przy al. Kościuszki, prowadzone pod kierunkiem malarza — Józefa Mroza. A przecież trzeba tu wymienić oprawy plastyczne uroczystości państwowych, targi międzynarodowe i krajowe w Poznaniu, wystawy przemysłowo-handlowe i wiele, wiele innych, przy organizacji których pracują plastycy łódzcy, działający poprzez „Art". Powyższa lista jest niepełna, ale daje już pewien obraz aktywności i przydatności społecznej Zakładów Artystycznych w Łodzi. A dochodzą przecież do tego, co napisałem powyżej, konkretne efekty ekonomiczne. Planowane obroty Zakładów na rok 1975 globalnie w handlu i usługach wynoszą 35 milionów złotych, a już w tej chwili wiadomo, że będą wyższe. Łódzkie Zakłady Artystyczne przy najniższych kosztach administracyjnych spośród wszystkich Zakładów w Polsce dają 3 miliony zysku, które to sumy przekazywane są na działalność statutową ZPAP.

Tak więc gospodarność, operatywność i zaangażowanie dają w efekcie konkretne korzyści miastu, jego mieszkańcom i środowisku plastycznemu. Z całym naciskiem podkreślić trzeba, że została w Zakładach Artystycznych stworzona, dzięki dyrektorowi Zdzisławowi Baranowskiemu i znakomitemu zespołowi pracowników sprzyjająca atmosfera dla twórczej i efektywnej pracy. Łódzkie Zakłady Artystyczne „Art" dają ogromną szansę plastykom łódzkim, którzy chcą aktywnie i twórczo włączyć się w nurt budowania swojej ojczyzny piękniejszej i nowocześniejszej. I stwierdzić trzeba z całym obiektywizmem, że środowisko

Izba tradycji i pamięci w Ozorkowie. Projekt. art. plastyk R. Józefowicz

łódzkie szansy tej nie zaprzepaszcza, o czym świadczą liczne realizacje i szerokie plany na przyszłość. Stwierdzić więc trzeba raz jeszcze, że łódzkie Zakłady Artystyczne „Art" są instytucją potrzebną i pożyteczną. Sądzę, że warto uważnie śledzić działalność tych Zakładów i współpracujących z nimi plastyków, bo przecież pracują oni dla nas wszystkich.

ANDRZEJ GRUN

CZESKA I SŁOWACKA tkanina artystyczna

W Ośrodku Propagandy Sztuki otwarta została 4 bm. wystawa tkanin czeskich i słowackich artystów. Ekspozycja ma charakter retrospektywny, obejmuje swoim zakresem twórczość w dziedzinie tkaniny zamkniętą w latach 1945—1975. Łódzka mutacja ekspozycji, z braku odpowiednich sal wystawowych (w gmachu Muzeum Historii Włókiennictwa prowadzony jest aktualnie remont) jest niepełna. Całą ekspozycję będzie można obejrzeć w październiku w salach warszawskiej Zachęty. I znowu daje się odczuć dotkliwie brak w Łodzi Galerii z prawdziwego zdarzenia. Który to raz? O, na wołowej skórze by nie spisał. Piszę, że dotkliwie daje się odczuć niekompletność ekspozycji, bo jest ona, nawet w tej formie, jaką zaprezentowano nam w Ośrodku, interesująca z wielu powodów. Ale po co ja właściwie te żale o Galerii tutaj wypłakuję? Będzie wystawa w Zachęcie, to sobie zainteresowani wsiądziecie w pociąg i przejedziecie się do Wraszawy. Łódź od stolicy bliziutko, problemu nie ma.

Karel Baron — „Trzy prządki"

Ale do rzeczy. Wystawa czeskiej i słowackiej tkaniny unikatowej zorganizowana została przy współudziale Ministerstwa Kultury Czeskiej Republiki Socjalistycznej i Ministerstwa Kultury Słowackiej Republiki Socjalistycznej jako główna impreza Dni Kultury Czeskiej i Słowackiej w Polsce, odbywających się z okazji 30-lecia wyzwolenia Czechosłowacji przez Armię Radziecką. Przy okazji informuję, że w Muzeum Sztuki otwarta została w związku z obchodami 30-lecia wyzwolenia CSRS ciekawa ekspozycja malarstwa czeskiego ze zbiorów Muzeum.

Wystawa czeskiej i słowackiej tkaniny jest drugą retrospektywną ekspozycją tej gałęzi sztuki zaprezentowaną w Polsce. Pierwsza odbyła się w 1966 roku w salach Muzeum Historii Włókiennictwa i obejmowała twórczość plastyków czechosłowackich na przestrzeni lat 1956—1966. Był to wybór dokonany z ogólnokrajowej wystawy czeskiej i słowackiej tkaniny, zorganizowanej w Ujeżdżalni Zamku Praskiego z okazji Kongresu AICA. Zresztą kontakty polskich i czechosłowackich twórców tkaniny są obustronne. Wymienić tu można jako przykład tych kontaktów pokaz polskiej tkaniny unikatowej w ubiegłym roku w Muzeum Współczesnej Tkaniny Artystycznej w Jindrichovym Hradcu i w Pradze z okazji Dni Kultury Polskiej w CSRS. Ponadto twórcy polscy i czechosłowaccy spotykali się na pokazach międzynarodowych, takich jak Biennale w Lozannie, wystawy w Amsterdamie, Barcelonie, Madrycie, Grenoble, Sao Paulo. W roku bieżącym, w październiku spotkają się na I Międzynarodowym Triennale Tkaniny w Łodzi.

Życiorys czeskiej i słowackiej tkaniny artystycznej jest stosunkowo krótki. Można go rozpocząć od lat dziesiątych naszego wieku, kiedy to w Valasske Meziria i Jindrichov Hradec utworzone zostały pracownie gobelinu działające na zasadach manufaktury. W pracowniach tych realizowano projekty powstałe w oparciu o tradycyjną technikę gobelinu. Ogromne zasługi w organizacji i uwspółcześnieniu tych pracowni miała Maria Teinitzerova, która pracując w Jindrichovym Hradcu poszerzała zakres stosowanych materiałów tkackich, konsekwentnie odchodziła od kanonów tradycyjnego gobelinu, starała się zwiększyć zakres ingerencji projektanta w realizację projektu. Pracując z malarzem Franciszkiem Kyselim, zrealizowała wedle metod przez siebie proponowanych, ośmioczęściowy cykl pod tytułem „Rzemiosła", który na Światowej Wystawie Sztuk Dekoracyjnych w Paryżu w 1925 roku nagrodzony został medalem Grand Prix. Było to pierwsze wyjście czeskiej tkaniny artystycznej na forum międzynarodowe.

Po wyzwoleniu artyści czescy i słowaccy włączali się stopniowo lecz systematycznie w nurt sztuki europejskiej we wszystkich jej dziedzinach. Nowy system szkolnictwa, mecenat państwa i partii, zielone światło dla wszelkiej twórczości artystycznej spowodowały w Czechosłowacji bujny rozkwit sztuk, w tym także sztuki tkackiej. Czescy i słowaccy plastycy coraz częściej pokazują swoje tkaniny na imprezach międzynarodowych. Wypracowują powoli swój odrębny styl, łącząc nowoczesność i śmiałość decyzji artystycznej, świeżość inwencji i odwagę eksperymentu z rzetelnym warsztatem. Czerpiąc swobodnie z wszelkich, dostępnych dzisiaj artyście źródeł inspiracji, zachowują swoją indywidualność, starają się przemawiać językiem własnym, przez siebie wypracowanym.

Coraz częściej artyści czescy i słowaccy tworzą tkaniny „od początku do końca"; projektują i realizują tkaniny samodzielnie, bez udziału rzemieślników. Przynosi to oczywiście efekty o wiele bardziej interesujące pod względem artystycznym i technologicznym. Widać też wyraźnie ciekawość twórców czeskich i słowackich do nowych tworzyw i nowych form, tak charakterystyczną dla współczesnej tkaniny w ogóle. Krótko mówiąc, artystyczna tkanina czeska i słowacka jest nowoczesna, wrażliwą i elastyczną dziedziną twórczości; żywą i różnorodną jak żywa i różnorodna może być tylko sztuka zaangażowana w rozwiązywanie aktualnych probemów formalnych i ideowych.

Ciekawy pokaz w Ośrodku Propagandy Sztuki w Parku Sienkiewicza kreśli nam wyraźnie drogi rozwoju tkaniny czeskiej i słowackiej i daje dość wyczerpującą informację o zainteresowaniach i poszukiwaniach w tej dziedzinie sztuki.

XXX-LECIE PIERWSZEGO ZJAZDU PISARZY POLSKICH

Na przełomie sierpnia i września 1945 roku odbył się w Krakowie pierwszy Zjazd Związku Zawodowego Literatów Polskich. W 30 rocznicę tego znamiennego dla kultury polskiej wydarzenia odbyło się w tymże samym, a jakże innym Krakowie, jubileuszowe posiedzenie Zarządu Głównego ZLP. W spotkaniu wzięła udział reprezentacja pisarzy z całego kraju, gremialnie przybyli gospodarze — literaci krakowscy stanowiący drugie, po Warszawie, środowisko pisarskie w kraju oraz przedstawiciele centralnych władz partyjnych i państwowych: kierownik Wydziału Kultury KC PZPR **Lucjan Motyka** i wiceminister kultury i sztuki **Aleksander Syczewski**. Władze miejscowe reprezentowali: I sekretarz Komitetu Krakowskiego PZPR **Wit Drapich** i prezydent miasta Krakowa **Jerzy Pękala**.

Dwudniowe spotkanie miało charakter uroczysty, było okazją do wyrażenia uznania zasłużonym twórcom i organizacji pisarzy krakowskich, a także naturalną chwilą wspomnień, ocen i refleksji na temat trudnych początków i dorobku XXX-lecia.

W pierwszym dniu odbyła się uroczysta sesja ZG ZLP pod przewodnictwem **Jarosława Iwaszkiewicza**. Serdeczne słowa powitania skierował pod adresem zebranych tow. Wit Drapich, przypominając następnie doniosłą rolę pierwszego po wojnie zjazdu pisarzy, który stworzył podwaliny i nadał kierunek rozwojowi literatury w Polsce Ludowej. Sekretarz Drapich przytoczył fragmenty podjętej przed trzydziestu laty deklaracji ideowej, stwierdzając, że spełnione zostały jej podstawowe założenia, że **„sojusz twórczy myśli polskiej z mocami postępu i demokracji podejmie ciężar przebudowy świata, a słowo literackie zawierać w sobie będzie najcenniejsze ideowe wartości"**.

Z wielką uwagą wysłuchano przemówienia nestora polskiej literatury, znakomitego pisarza, **prezesa ZG ZLP Jarosława Iwaszkiewicza**. W swoim przemówieniu, z nutą osobistego wzruszenia, mowca stwierdził m. in. **„W ciągu 30 lat nasza społeczność literacka ofiarowała narodowi co miała najlepszego: swój trud i wysiłek wieńczony niejednokrotnie dużym powodzeniem. Pisarze nasi zawsze myśleli o czytelnikach, dla których tworzyli, starali się być głosem, sumieniem i przewodnikiem społeczeństwa. Kultura i praca literacka stanowiły przez 30 lat integralną część budowy społeczeństwa socjalistycznego"**. Następnie J. Iwaszkiewicz przypomniał najlepsze tradycje polskiej literatury, twórczość Stefana Żeromskiego (patronującego pierwszym poczynaniom organizacyjnym literatów polskich) i Władysława Reymonta, stawiając ją za wzór dbałości o formę artystyczną połączoną z troską o wymowę dzieł służących sprawie narodowej. Prezes ZG ZLP zakończył apelem o obronę języka polskiego, podnosząc inicjatywę powołania w Krakowie — „mieście Pigonia, Klemensiewicza i Wyki" — odpowiedniej placówki zajmującej się ochroną języka.

Później popłynęły wspomnienia sprzed 30 lat. Zabierali głos bezpośredni uczestnicy zjazdu i ci, którzy mu w różny sposób towarzyszyli: Wilhelm Szewczyk, Halina Auderska, Jerzy Turowicz, Józef Maśliński, Jerzy Broszkiewicz. Uroczyste posiedzenie zakończył akt dekoracji członków Prezydium Zarządu Głównego ZLP Złotymi Odznakami m. Krakowa.

Jeszcze tego samego dnia, wieczorem, duża grupa pisarzy odwiedziła **Hutę im. Lenina**, zapoznając się z pracą dwóch głównych wydziałów: wielkich pieców i walcowni. Następnie odbyło się przyjacielskie spotkanie z aktywem partyjnym i dyrekcją kombinatu.

Nazajutrz pisarzy podejmował prezydent m. Krakowa na zamku w **Pieskowej Skale**, gdzie w Sali Kazimierzowskiej odbyła się dekoracja zasłużonych pisarzy krakowskich. Złotą Odznakę m. Krakowa otrzymał **Krakowski Oddział ZLP**, a indywidualnie odznaczeni zostali: Krzyżami Komandorskimi Orderu Odrodzenia Polski — **Jerzy Broszkiewicz** i **Antoni Gołubiew**, Krzyżem Oficerskim — **Hanna Malewska**, Krzyżem Kawalerskim — **Mirosława Jaworczakowa**. Złote Krzyże Zasługi otrzymali — **Jan Błoński, Leszek Elektorowicz, Jan Paweł Gawlik, Ryszard Kłyś, Jerzy Kwiatkowski, Tadeusz Śliwiak** i **Jan Zych**.

Spotkanie to było okazją do uhonorowania pisarskiego wysiłku krakowskich twórców, którzy w okresie 30 lat w sposób zaszczytny realizowali postulaty I Zjazdu ZZLP.

J.W.

W KRAJU „NAFTOWEJ MANNY"

Wieczorem, 18 czerwca br., w Rijadzie, stolicy Arabii Saudyjskiej, na jednym z placów miejskich odbyła się egzekucja księcia Fajsala ibn Musaida ibn Abdel Aziza, który w marcu tego roku dokonał zamachu na życie króla Fajsala.

Wyrok wykonano w obecności skandujących tłumów mieszkańców stolicy — „Allach jest wielki... Sprawiedliwości stało się zadość". Głowę skazańca wystawiono na widok publiczny. Tegoż wieczoru w oficjalnym komunikacie podano do wiadomości, że wyrok wykonano opierając się na niezbitych dowodach oraz przyznaniu się do winy samego sprawcy zamachu. „Zabójca — informowano w komunikacie — odrzucając modlitwę, post i inne obrzędy religijne dokonał zamachu na króla w dążeniu do obalenia dogmatów islamu".

Teraz w Rijadzie mówi się półgłosem, że „prawdziwe motywy zamachu nie zostały ujawnione". Władze same dały powód do przeróżnych spekulacji, informując początkowo, iż zabójca króla jest „człowiekiem niespełna rozumu", a później, że jest „normalny".

Podróż po Arabii Saudyjskiej roku 1975 — pisze korespondent „Le Monde" — wskazuje, że Fajsal w okresie swych rządów dokonał znacznych przeobrażeń w wielu dziedzinach ekonomicznego i socjalnego życia kraju. Zniósł niewolnictwo, stworzył aparat administracyjny, wprowadził bezpłatne nauczanie, wysyłając na koszt państwa tysiące młodych ludzi na studia zagraniczne, otworzył — wbrew religijnym przesądom — szkoły i kursy dokształcające dla kobiet, wybudował 10 tysięcy kilometrów dróg bitych przez pustynię, przeznaczył znaczne środki na burzenie studni i stworzenie nowoczesnego systemu wodociągów, wprowadził kontrolę wydobycia nafty. Wbrew gwałtownym protestom nosicieli i obrońców starego — pozwolił na wprowadzenie telewizji.

Jednakże tym wszystkim przeobrażeniom nie towarzyszyła demokratyzacja. Obecną modernizację kraju uwarunkowały ogromne dochody płynące ze sprzedaży nafty. W Arabii Saudyjskiej panuje absolutyzm. Istnienie partii politycznych i związków zawodowych jest zakazane. Kobietom wolno pracować wyłącznie w instytucjach naukowych i służby zdrowia, nie wolno im prowadzić samochodów, nie wolno korzystać z transportu publicznego. Wszystkie gazety saudyjskie (jest ich osiem) są podobne do siebie jak dwie krople wody. Produkcja papierosów (ale nie ich palenie) jest zabroniona. Kino, jako rozrywka, jest również zakazane. Złodziei karze się nadal, jak przewiduje Koran, odcięciem ręki.

Zbójstwo króla Fajsala nie zmieniło obyczajów dworu królewskiego. Niemniej, poza pałacem nowy król porusza się wyłącznie w asyście mnóstwa żołnierzy gwardii przybocznej i policjantów; jego poprzednik miał tylko nieliczną ochronę. Raz na tydzień król Chalid wydaje otwarte przyjęcie. Do tych bezpośrednich kontaktów z poddanymi król przywiązuje wielką wagę. Są one bowiem niejako małym, cotygodniowym plebiscytem.

Po zabójstwie Fajsala członkowie rodziny królewskiej, owej jedynej w swoim rodzaju „partii", której kierownictwo składa się z bezpośrednich potomków założyciela dynastii, zdążyli już podzielić między siebie kierownicze stanowiska w aparacie państwowym. 63-letni Chalid został królem, jego brat, 54-letni emir Fahd został następcą Chalida, stając się faktycznie głową gabinetu. Chalid, którego nigdy nie interesowały ani polityka zagraniczna, ani sprawy bezpieczeństwa wewnętrznego, obie te sfery działania państwowego ustąpił Fahdowi. W jego ręce oddał również sterowanie finansowym mechanizmem kraju. Król zajmuje się osobiście sprawami związanymi z życiem Beduinów, którzy stanowią 40 procent ludności Arabii Saudyjskiej i są najmocniejszą podporą tronu. Jego starszy brat, który swego czasu zrzekł się wszelkich praw do tronu królewskiego, jest ogniwem łączącym dwór z szejkami pustyni. Jednakże wewnętrzne sprawy Półwyspu Arabskiego należą do kompetencji Chalida.

Dowództwo siłami zbrojnymi rozdzielono pomiędzy dwóch braci króla, z których jeden jest dowódcą gwardii narodowej, drugi — ministrem obrony. Gwardia narodowa, która składa się de facto z dziesiątków tysięcy Beduinów, jest, jeśli nie silniejsza, to w każdym razie potencjalnie bardziej liczna niż armia regularna. Po nieudanej próbie puczu w 1969 roku wojskowi, pochodzący z rejonu Chidżaza znanego z kosmopolitycznych tendencji, zostali zastąpieni przez ludzi z Nedżdy — kolebki dynastii.

Podczas gdy w innych krajach arabskich więzy rodowe pochodzą z linii ojcowskiej, w królewskiej rodzinie saudyjskiej pokrewieństwo ze strony matki jest często źródłem napięć, powstawania sojuszów, rywalizacji lub wyważania równowagi politycznej. Na przykład synowie jednej matki: król Chalid i emir Mohammed zbliżyli się z emirem Abdallem, żeby zrównoważyć wszechobecny „klan Sudeiri", do którego należą książę — następca, minister obrony, minister spraw wewnętrznych i wicegubernator Mekki.

Od działalności tych książąt zajmujących kluczowe stanowiska państwowe zależy los kraju. Cechuje ich wszystkich jeden wspólny rys: pasja do działalności państwowej i głębokie zrozumienie wiodącej roli ekonomiki we współczesnym państwie. Chociaż Arabia Saudyjska dysponuje ogromnymi możliwościami finansowymi dla zabezpieczenia swojej przyszłości, to jednak brakuje jej zasobów ludzkich.

W Dżiddzie, ekonomicznym centrum królestwa, betonowe bryły z nowoczesną klimatyzacją zastąpiły drewniane domki. Na pustyni wyrosły fabryki i sklepy. W porcie, na wodach Morza Czerwonego, mnóstwo statków z towarami masowego spożycia i sprzętem technicznym czeka na rozładunek.

Nieżyjący król Fajsal trzymał się zawsze dwóch podstawowych linii: idei panislamizmu w polityce zagranicznej i umiarkowanej modernizacji w polityce wewnętrznej. Wszystko wskazuje na to, iż jego następcy nie zamierzają odejść od polityki umacniania wpływów Arabii Saudyjskiej w krajach Trzeciego Świata, lecz będą ją realizować metodami mniej zdecydowanymi.

Mieszkańcy Arabii Saudyjskiej mają nadzieję, że rozwój ekonomiczny, któremu równolegle będzie towarzyszyć napór tendencji zachodnioeuropejskich, osiągnie w najbliższym dziesięcioleciu niebywały rozmach. Kraj zajmuje dziś trzecie miejsce w świecie pod względem produkcji nafty — 412 milionów ton w 1974 roku — po Związku Radzieckim i USA. Dzięki podwyższeniu cen za „czarne złoto" Rijad osiągnął w 1974 roku zyski rzędu ok. 35 miliardów dolarów w porównaniu z 4 miliardami w 1972 roku.

Obecny plan 5-letni jest ukierunkowany na budownictwo przemysłowe. Na jego wykonanie, pomijając wydatki na cele obrony, przeznacza się ponad 100 miliardów dolarów.

Jednakże na setkach stron planu nie ma ani słowa o liczbie mieszkańców królestwa. Nie jest to przypadek. Każda wzmianka na ten temat wzbudza niezadowolenie w kołach oficjalnych. Ostatnie wyniki spisu ludności, jak powiadają w Rijadzie, „pozostaną pod suknem królewskiego biurka". Skonstatowanie faktu, iż Arabia Saudyjska liczy trzy miliony osiemset tysięcy mieszkańców, podczas gdy już kilka lat temu podano oficjalnie liczbę 7 milionów mieszkańców, może spowodować poważne następstwa. Mieszkaniec Arabii Saudyjskiej byłby wielce niezadowolony dowiadując się, że Północny Jemen ma więcej ludności niż królestwo, i że liczba pracujących obcokrajowców w Arabii Saudyjskiej wynosi okrągły milion, przewyższając o 400 tysięcy liczbę pracujących Arabów Saudyjskich.

Kolonia Jemeńczyków w Arabii Saudyjskiej liczy ponad milion ludzi, palestyńska — 100 tysięcy, egipska — 80 tysięcy. Śmieciarze są z reguły uchodźcami z Omanu, robotnicy — z Północnego i Południowego Jemenu, pomoce domowe — z Sudanu, pracownicy inżynieryjno-techniczni pochodzą z Egiptu, Libanu lub Syrii. Zmarły niedawno prezes Banku Centralnego Arabii Saudyjskiej był Pakistańczykiem...

Mieszkańcy Arabii Saudyjskiej, od emira do poganiacza wielbłądów, dzięki „naftowej mannie" przywykli do życia bez zbytnich problemów. Dlatego też obecne kierownictwo saudyjskie, mając na uwadze rozwój ekonomiczny i wykonanie bieżącego planu 5-letniego, stawia przede wszystkim na cudzoziemców: arabską siłę roboczą i zachodnią technologię. Obecnie główną uwagę zwraca się na stworzenie naftowo-chemicznego kompleksu na wybrzeżu Zatoki Perskiej. Amerykanie, którzy natychmiast pojawiają się tam gdzie pachnie naftą, wykrawają już dla siebie najlepszy kąsek w tym projekcie. Nieźle też ulokowali się tam Anglicy. Tylko Francuzom nie udało się — pisze z sarkazmem korespondent „Le Monde" — „handlowe przeniknięcie" do Arabii Saudyjskiej. Na razie ogranicza się ono do takich dziedzin, jak uzbrojenie i kolorowa telewizja. W sektorze budownictwa drogowego i stworzenia sieci telefonicznej Francuzi pozostawili po sobie żałosne wspomnienia. Co prawda wyróżnili się tutaj specjaliści francuskiej firmy „Tine": żeby otrzymać kontrakt na wybudowanie międzykontynentalnego hotelu w Mekce przyjęli nawet islam.

JERZY CZECH

■ PORTUGALSKIE NIEPOKOJE
■ NOWA INICJATYWA ZSRR
■ KRYTYCZNE GŁOSY KRAJÓW ARABSKICH

Sytuacja w Portugalii nadal może napawać troską. Dymisja piątego od kwietniowej w ub. roku rewolucji gabinetu i desygnowanie na nowego premiera admirała Azevedo — nie zakończyły okresu niepokoju. **W dalszym ciągu czynne są siły prawicy**, a agencje zachodnie obiegły ostatnio pogłoski o zamiarze Spinoli zorganizowania rebelii na północy kraju. Trudno potwierdzić, czy też zaprzeczyć tym doniesieniom — faktem jednakże jest, że **poza granicami Portugalii powstała organizacja polityczno-wojskowa, związana ze Spinolą, a on sam nieoczekiwanie znalazł się w Paryżu.** Jego wypowiedź dla brazylijskiego dziennika: „nie tracę nadziei ani co do mnie, ani co do Portugalii" ma jednoznaczną wymowę. Podobnie, jak inne stwierdzenie: że przybył do stolicy Francji, aby nawiązać ważne kontakty polityczne i gotów jest tam czekać nawet rok, jeśli to będzie konieczne.

Rada Rewolucyjna, nawiązując do pogłosek o zamiarze powrotu Spinoli do kraju, oznajmiła, że **jest on wciąż odpowiedzialny za próbę zamachu stanu w dniu 11 marca br.** i że jego pojawianie się w granicach Portugalii byłoby równoznaczne z aresztowaniem i sądzeniem przed trybunałem wojskowym.

Nie ulega wątpliwości, że portugalska prawica i jej zagraniczni mocodawcy chcieliby, nie przebierając w środkach, zagrodzić drogę demokratycznej rewolucji i cofnąć kraj do okresu sprzed rewolucji. Dlatego stwarzają wokół Portugalii atmosferę szantażu i niepewności oraz potęgują jej trudności gospodarcze. Nienowa to metoda — znana nam sprzed dwóch z górą lat z Chile. Przypomnijmy, że kiedy ona zawiodła — nie zawahano się sięgnąć do zbrojnej rebelii, która zapoczątkowała szlak zbrodni junty. Właśnie **to, co dzieje się w Chile najlepiej unaocznia jak tragiczne następstwa niesie zejście z drogi postępu i demokratycznych przemian.** Dlatego dla Portugalii obecnie najważniejszym zadaniem jest zapewnienie jedności sił lewicy, ludzi pracy i Ruchu Sił Zbrojnych. Do tego właśnie, jak wielokrotnie wykazywaliśmy na tym miejscu, dąży Portugalska Partia Komunistyczna.

Rozwój wydarzeń wokół Portugalii wskazuje równocześnie, że **międzynarodowe siły reakcji próbują podważyć końcowe postanowienia Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie**, które, jak wiadomo, jako jedną z zasad pokojowego rozwoju stosunków międzynarodowych wymieniają nieingerencję.

* * *

Z nową cenną inicjatywą pokojową wystąpił w ostatnich dniach Związek Radziecki. Min. A. Gromyko zaproponował sekretarzowi generalnemu ONZ — K. Waldheimowi włączenie do porządku dziennego jubileuszowej trzydziestej sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ propozycji **zawarcia układu o całkowitym zakazie prób z bronią jądrową.**

W 1963 roku układem moskiewskim zakazano takich prób w atmosferze, przestrzeni kosmicznej i pod wodą. W 11 lat później ZSRR i USA porozumiały się co do ograniczenia prób podziemnych. Nowa inicjatywa radziecka zmierza do rozciągnięcia porozumienia także na inne kraje i skodyfikowania w jednym dokumencie wszystkich doświadczeń z bronią jądrową.

Wagę radzieckiej propozycji określa fakt, że **wyścig zbrojeń stanowi teraz największe niebezpieczeństwo dla świata.** Z tego względu podkreślamy przy każdej okazji, że odprężenie polityczne powinno być uzupełnione militarnym. W nie zahamowanym jeszcze wyścigu zbrojeń, zbrojenia nuklearne stanowią szczególny rozdział. Są najbardziej niebezpieczne i najbardziej kosztowne. Te dwa aspekty: militarny i ekonomiczny przemawiają jednoznacznie za pełnym zakazem prób z bronią jądrową. Wprowadzenie go w życie byłoby ważnym krokiem na drodze, która powinna prowadzić do powszechnego i całkowitego rozbrojenia.

Proszę zwrócić uwagę, jak niewiele czasu minęło od pomyślnego zakończenia Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, a więc ustanowienia dla naszego kontynentu zasad pokojowego rozwoju stosunków między krajami, a już **ZSRR — zgodnie z duchem tej wielkiej karty pokoju — występuje z nową inicjatywą.**

* * *

Porozumienie, zawarte między Egiptem a Izraelem o częściowym wycofaniu się wojsk izraelskich w głąb Synaju, **jest ostro atakowane przez niemal wszystkie państwa arabskie.** Faktycznie bowiem „kompromis" Tel Awiwu zrekompensowany został Izraelowi z nawiązką. Stany Zjednoczone zapewniły temu krajowi 3 mld dolarów pomocy i zgodziły się na własny koszt wysłać personel, obsługujący stacje elektronicznego zwiadu w rejonie strategicznych przełęczy Mitla i Gida. W ten sposób Izraelowi udało się — jak podkreślają komentatorzy — bezpośrednio wciągnąć USA w konflikt bliskowschodni.

Z ogólniejszego punktu widzenia można ocenić, że **porozumienie egipsko-izraelskie nie przybliża całościowego rozwiązania problemu.**

WITOLD SŁAWSKI

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

WARSZTAT CZARODZIEJA

W powszechnym mniemaniu poeci, pisarze — to tacy faceci, którym rodzą się pod piórem jak deus ex machina różne historyjki. „Z głowy czyli z niczego" — jak głosi porzekadło.

Pisarze, zresztą, raczej niechętnie mówią o swoim warsztacie. Ci natomiast, którzy kulisy owego warsztatu ujawniają, zyskują sobie sławę pracusiów bez polotu. Ostatecznie czytelnik wybaczy jeszcze bogate archiwa, dokumentacje, literaturę przedmiotu — reporterowi. Ale poeta? No, ten to już tylko iskrę bożą ma za warsztat, muśnięcie muzy za archiwa...

A jest przecież inaczej. **„Mnóstwo rzadkich druków i cennych przyczynków do historii języka i kultury. Wystarczy dotknąć jakiejkolwiek teczki, koperty, a nawet choćby „fiszki" z notatkami: każda prawie kryje zagadnienie, temat lub co najmniej ciekawy drobiazg (...) W grubych, pakownych tekach zamknięte zostały plany i notatki prac zaprojektowanych przez poetę (...) Poeta czytał zawsze z ołówkiem w ręku. Pod ręką miał stosy czystych kartek, „fiszek", na których odnotowywał potrzebne informacje".**

To o Julianie Tuwimie.

I dalej: **„Zapiski i notatki z lektur czasopiśmienniczych skrzętnie przechowywane w archiwum. Bogata kartoteka przysłów, powiedzeń, porzekadeł, charakterystycznych zwrotów językowych — dziesiątki „fiszek" w podłużnej skrzynce. Na każdej kartce drobnym, wyraźnym pismem poety odnotowany tekst, jego pochodzenie i przeznaczenie".**

O tuwimowskim warsztacie pracy napisała piękną książkę Monika Warneńska, a wydało Wydawnictwo Łódzkie. Już dość dawno książkę tę zapowiadano — miłośnicy twórczości Tuwima czekali na nią z niecierpliwością. A ponieważ poeta lubił kurioza i zabawne „wice", więc i książka sprzedawana jest z dołączoną karteczką.

Jest to wycinek z zapowiedzi wydawniczych. Pisze tam: **„30.000 egzemplarzy, okładka lakierowana, cena 30 zł".** A do rąk dostajemy książkę bez lakierowanej okładki, w nakładzie... 10 tysięcy egzemplarzy, kosztującą czterdzieści złotych. To, co ujęto z nakładu, dodano w cenie — i wszystko gra.

Ale to drobiazg, po prostu zwykły „wic", jakie bardzo lubił poeta. Ważne, że jest wreszcie ta książka, pełna szczegółów, anegdot — książka przybliżająca nam poetę w sposób o wiele bardziej pełny niż wydany przed laty koturnowy i „nekrologowy" tom wspomnień.

Wróćmy jednak do warsztatu czarodzieja. Przypominał on warsztat naukowca, historyka — i takim był w istocie. Julian Tuwim, oprócz poetyckiego talentu otrzymanego w darze od Natury, wypracował sobie ogromną wiedzę. Wypracował, bo pisarstwo jest pracą i książki, wiersze, szkice, rodzą się w upartym trudzie na szerokiej niwie już istniejącej kultury.

Monika Warneńska zastanawia się we wstępie, czym jest ta książka. Biografią pisarza? Nie. Analizą jego twórczości? Bynajmniej. Więc? Jest to po prostu próba ukazania niektórych tajników niezwykłego zjawiska, jakim było pisarstwo Tuwima, próba ukazania niektórych mechanizmów warsztatu czarodzieja.

Przyznam się, że nie kusiła mnie ochota zdefiniowania tej książki. Po prostu ją przeczytałem jednym tchem, tak jak zapewne przeczyta „Warsztat czarodzieja" pozostałych dziewięć tysięcy dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu miłośników pisarstwa Juliana Tuwima, którym udało się kupić tę niecodzienną, piękną książkę.

WIDOK

LEWYM OKIEM

ALA MA KOTA

Ledwie człowiek przeżył swoich pierwszych sześć lat, zaczynało się: Ala ma kota. Kilkadziesiąt roczników rozpoczynało tymi słowami naukę trudnej sztuki czytania. Ala miała także tatę. Tato i kot — to były elementarne pojęcia najwcześniejszego dzieciństwa, bo przecież jeszcze wcześniej słyszało się ciągle: „...aaa, kotki dwa..." Teraz kotków jest więcej niż dwa i nie są już takie małe. Zamiast „Ala ma kota" mówimy „ale ma kota!" — widząc kogoś chorego po przepiciu, zmarnowanego i obrażonego na cały świat. Witkiewiczowska „Glątwa" jakoś się w mowie potocznej nie przyjęła, pozostał „kac" czyli „kot", chociaż nikt nie wie, dlaczego ów koszmarny stan psychiczny skojarzono z nazwą puszystego, oswojonego od tysiącleci zwierzątka.

Jeszcze mi się snują po głowie resztki Jachowiczowej bajeczki: „raz kotek był chory i leżał w łóżeczku, i przyszedł pan doktor: jak się masz, koteczku!" (Dziś oczywiście chory kotek leżałby na lezance, łóżka nieaktualne, a zamiast pana doktora przyszłaby pani doktor, bardzo młoda, bo te starsze się szanują i na wizyty domowe nie chadzają). Jeszcze pamiętam zabawnego Maćka, który siadał mi na karku, gdy pochylony wkuwałem — wyobraźcie sobie — łacinę, i mruczał usypiająco a rozkosznie. Dotąd nawet zazdroszczę kotom tej zdolności mruczenia, sam miałbym czasami ochotę pomruczeć, gdy mi jest w środku ciepło i przyjemnie, choć prawda i to, że momenty takie zdarzają się jakby rzadziej niż kiedyś. Znam — wszyscy je znacie — sporo kawałów o kotach w marcu i o kotach na dachu, a przecież i to nieaktualne, bo koty nie są głupie i na dachy samotnie stojących wieżowców nie wchodzą. Po co?

Wszystko, co mają do załatwienia, załatwiają w piwnicach. Widziałem przed kilkunastu laty setki bezpańskich kotów, wyłażących ze wszystkich przyziemnych okienek Wenecji, rozwydrzonych (czy kot może się rozwydrzyć? oto przykład zoologicznej mętaforyki...), spasionych, plączących się pod nogami chudych Angielek. Te koty sprawiały wrażenie groźnego, przyczajonego żywiołu, na szczęście jednak była to daleka Wenecja. A oto takie same koty pryskają mi spod nóg w mieście Łodzi, skaczą po mojej klatce schodowej, hałasują w piwnicy. Nikt nie wie, ile ich jest. Ktoś litościwy zostawia drzwi do piwnic otwarte dzień i noc, żeby się kotom nie nudziło, żeby miały wentylację, wolne wyjście i wejście. Tym samym wejściem wchodzą młodzi ludzie i czynią tam różne rzeczy. Niektórzy nasi sąsiedzi chcieliby zamknąć te drzwi, boją się o swoje zapasy, o bezpieczeństwo rozmaitych dóbr, przechowywanych w komórkach. Są to jednak wrogowie kotów.

Kot jest stworzeniem niezmiernie czystym, nie ma mowy o zapchlonych kotach, zapchlone mogą być i są tylko psy. Każdą wolną od drzemki i polowania chwilę kot przeznacza na toaletę osobistą. Ale gdzieś się załatwić musi i niektórzy sąsiedzi skarżą się na niedobre, a silne zapachy. To zapewne również wrogowie kotów.

Nie ma przytułków dla bezpańskich kotów, ani kocich konkursów piękności, ani wystaw, gdzie by pokazywano do jakich wynaturzeń można doprowadzić drogą odpowiedniego kojarzenia par. Koty jednak doskonale sobie radzą bez przytułków, kojarzą się same, na medalach im nie zależy. Nawet pan Styczyński w swoim prześlicznym kocim albumie nie uwiecznił ani jednego modela z orderem na szyi.

Gdybym miał własny dom z ogródkiem, trzymałbym psa i dwa koty. Dwa psy byłyby o siebie zazdrosne, kotom na ludzkiej miłości nie zależy, może dawno przestały w nią wierzyć.

ĆWIEK

WSPOMNIENIA

WRZEŚNIOWE SPOTKANIE

Już Aleksandryjczycy 23 wieki temu uważali, że życie jest tak bogate w zdarzenia najdziwniejsze, iż wystarczy je wiernie odtworzyć, by zainteresować nim nie tylko czytelnika, ale najbardziej nawet wytrawnych krytyków.

Uważali, że pisarz opisujący zdarzenia fikcyjne, wymyślone, pozbawia życie prawdziwe sensu.

Pisząc więc „Jak zostać generałem" starałem się wiernie odtworzyć zdarzenia tak, by niepotrzebnym słowem nie wypaczyć zapamiętanego obrazu, nie zmienić w tej zastygłej, przeźroczystej bryle pamięci żadnego szczegółu. Cywile, z którymi los mnie zetknął, żołnierze, o których pisałem żyli naprawdę, mieli swoje nazwiska i imiona i chociaż w mojej pamięci wielu z nich trwa bezimiennie, nie utracili swego własnego, niepowtarzalnego wyrazu. Jak ten bohater mojego Września którego umownie nazwałem Świątkiem.

Zresztą kto wtedy pytał o nazwiska? Ludzie przywoływali się po imieniu, po pierwszym uścisku dłoni. Wśród tej masy poznanych byli jednak i tacy, którzy od razu, od pierwszego spotkania mieli swoje nazwiska. Należał do nich porucznik Kołek. Widać wyróżnił się spośród innych tak znacznie, że zajął w mojej pamięci miejsce szczególne, zarezerwowane dla najznakomitszych.

Był świetnym dowódcą, podziwialiśmy go wszyscy, parę razy dziennie dawał tego dowody, był ludzki. Kiedy podlegli mu, wyżsi rangą oficerowie domagali się odwetu za ostrzelanie naszego oddziału przez ukraińskich nacjonalistów i żądali spalenia wsi, odpowiedział krótko: „Dajcie winnych Ukarzę. A kobiet i dzieci za to, co robią mężczyźni, karał nie będę".

W tych dniach rozpaczy zachował tak potrzebną nam wszystkim godność.

Mówiliśmy o nim zwyczajnie — porucznik Kołek. Toteż po latach, kiedy zacząłem opisywać tamte zdarzenia, pamiętałem go doskonale. I oto niespodzianie, w parę lat po napisaniu książki otrzymałem list.

„Szanowny Panie. W 1971 roku nabyłem książkę, którą poleciła mi nasza przyjaciółka z Przemyśla, doskonale znająca moje przeżycia wojenne. Listownie poinformowała mą żonę o ukazaniu się tejże powieści na półkach księgarskich. Wyszczególnione w książce okoliczności prowadzenia kilkutysięcznego oddziału, złożonego z różnych formacji przez porucznika Kołka z Rohatyna do Węgier, są w swym autentyzmie nie do podważenia. Wyznaję to jako dowódca, któremu wówczas przypadła rola prowadzenia licznego oddziału z Rohatyna do Nadwórnej, gdzie rzekomo miała nastąpić koncentracja naszych wojsk w odwrocie... Mimo braku imienia przy mym nazwisku, wymienianym w tej opowieści, nie miałem najmniejszych wątpliwości, jak i moi znajomi, że w danym przypadku chodzi o moją osobę".

W ten niezwykły sposób mojemu bohaterowi z Września przybyło imię, a mnie ogarnęło uczucie błogiej sytości, że świadectwo, które wystawiłem tamtym czasom, znalazło drogę do tych, do których było adresowane.

Minęło parę dalszych lat zanim doszło do naszego spotkania w Katowicach przed pocztą na ulicy Morcinka. Poznałem go od razu.

Na spotkanie pojechałem z Ludkiem Kurlandtem, zbowidowcem, byłym więźniem Oświęcimia. Ktoś przecież musiał wypić z moim bohaterem, a ja nie mogłem. Prowadziłem samochód.

Wieczór w domu u państwa Kołków upłynął na wspomnieniach zakrapianych „czystą".

Mąż i żona, zasłużeni dla PRL, odznaczeni Krzyżami Kawalerskimi za zasługi w budowie naszego powojennego życia, okazali się w cywilu ludźmi również interesującymi jak wtedy, gdy ważyły się losy kraju. O tym, że mój bohater, będąc już na emeryturze, pisze wspomnienia, wiedziałem z krótkiej rozmowy telefonicznej. Ale że pisze wiersze, dowiedziałem się u nich w domu. Udało mi się ośmielić gospodarza na tyle, że parę swoich utworów sam mi przeczytał. Oto fragment wiersza „Apel do rodaków":

„Piękno ziemi naszej
w sercach nieskalane
Przez pokolenia pokoleniom
przekazane
Wypełnia duszę polską
wszędzie
Gdziekolwiek Polak był
i istnieć będzie".

No, cóż, treścią wszystkich utworów jest przywiązanie do ziemi, głęboki patriotyzm. To na nim wychowali się obrońcy Warszawy, Helu, Westerplatte. Kiedy je czytam, przypominają mi odgrzebane cacka minionej epoki. Budzą szacunek, chociaż nie znajdują naśladowców.

Kilka wierszy, wspomnienia z Bliskiego Wschodu zabrałem z sobą. Nieczęsto zdarzają się takie spotkania. Do obrazu porucznika Kołka wpisuję imię — Marian.

KAROL OBIDNIAK

STADION

Czyta się tę książkę z przerażeniem. Rozgrywające się na jej kartach sceny przypominają relacje z hitlerowskich obozów śmierci, z przesłuchań gestapo, z Pawiaka... A wszystko to działo się dwa lata temu w Chile.

Ta książka stanowi coś więcej niż literaturę faktu. Jest to wstrząsający dokument. Świadectwo wskazujące, w jaki sposób ukazuje się światu faszyzm w trzydzieści lat po śmierci Hitlera i Mussoliniego. Jak odradza się zwierzęca natura tego systemu wszędzie tam, gdzie konkretne warunki społeczno-polityczne czynią go, w przekonaniu klas posiadających i imperializmu, jedynym rozwiązaniem, bez którego nie można by żadną miarą utrzymać swych przywilejów, powstrzymać procesu postępowych przemian.

Książka ta jest jednak czymś znacznie więcej. Jest świadectwem triumfu człowieka, wyższości humanistycznych ideałów nad wyzutym z wszystkiego, co ludzkie modelem faszyzmu.

Czytelnika polskiego, którego osobiste i narodowe doświadczenia z zakresu tego, czym potrafi być faszyzm, są tak bliskie przeżywanej aktualnie przez Chile tragedii, lektura tej książki fascynuje i przeraża. Jak „Dymy nad Birkenau" Szmaglewskiej, jak opowiadania oświęcimskie Borowskiego.

Ta książka jest świadectwem prawdy. Porażającej i przerażającej prawdy o tym, czym jest faszyzm.

Sergio Villegas „Stadion", Wypowiedzi naocznych świadków o terrorze junty w Chile. Wyd. „Iskry", cena 18 zł.

SPOKOJNE SUMIENIA

Carlos Fuentes, jeden z najwybitniejszych pisarzy Ameryki Łacińskiej, znany jest czytelnikom polskim dzięki przekładom takich powieści, jak „Śmierć Artemia Cruz", „Kraina najczystszego powietrza" i „Aura".

W powieści „Spokojne sumienia" Fuentes kontynuuje penetrację życia i społeczeństwa meksykańskiego rozpoczętą już w innych utworach. Tematem powieści są dzieje jednej rodziny, osadzone na tle życia prowincji Guanajuato oraz konflikt dojrzewającego młodzieńca ze światem tradycji i moralności mieszczańskiej.

„Spokojne sumienia" miały być pierwszą częścią zamierzonej i nie doprowadzonej do końca trylogii w „balzakowskim", jak sam pisarz mówił, stylu, który swą powolną i uroczystą narracją oddaje atmosferę i tempo wydarzeń rozgrywających się w prowincjonalnym miasteczku i w zamkniętym kręgu mieszczańskiej rodziny.

Książka Fuentesa jest nową próbą opisu i analizy rzeczywistości meksykańskiej, próbą o dużych wartościach poznawczych, a nawet socjologicznych. Jest to także oskarżenie zakłamania i fałszywej moralności mieszczańskiego światka.

Carlos Fuentes „Spokojne sumienia", Wyd. Literackie, cena 18 zł.

MOST NA RZECE KWAI

Na długo nim poznaliśmy książkę, na długo nim poznaliśmy głośny film, zrealizowany na jej podstawie — znaliśmy ów „gwizdany" marsz z filmu „Most na rzece Kwai". Oczywiście stara melodia wyciągnięta z lamusa przez realizatorów filmu, z powieścią nie ma nic wspólnego, ale czasem wydaje się nam, że słyszymy ów charakterystyczny gwizd, gdy przewracamy kartki powieści.

Pierre Boulle, francuski pisarz, urodzony w Avignonie, napisał parę powieści i wiele opowiadań. Zasłynął jednak tylko tą, opowiadającą o drugiej wojnie światowej. Przedstawił w niej — z dużym zacięciem ironiczno-satyrycznym — problem swoiście pojmowanej ambicji osobistej i narodowej. A poza tym — co tu dużo mówić — jest to znakomita, sensacyjna lektura.

Pierre Boulle „Most na rzece Kwai", PIW, cena 20 zł.

CUDOWNA PORA

Powieść „Cudowna pora na podróż" przedstawia decydujący dla Bułgarii okres poprzedzający powstanie kwietniowe w 1876 roku, kiedy to kraj walczył o wyzwolenie spod tureckiej niewoli. Jednakże nie fakty historyczne interesują autorkę przede wszystkim, lecz ludzie. Liliana Michajłowa opisuje życie i losy kupca z Płowdiwu: przeszłość jego i jego żony, atmosferę w mieście, dzieciństwo i młodość ich córki Eleny, jej pobyt na pensji w Bukareszcie, pierwszą przyjaźń i pierwszą miłość... Wszystkie te codzienne, rodzinne sprawy ukazane są przez pryzmat spraw epoki.

Liliana Michajłowa jest pisarką średniego pokolenia (urodziła się w Płowdiwie w 1939 roku) — z wykształcenia jest filologiem, przez parę lat pracowała jako nauczycielka, a obecnie jest dziennikarką. Debiutowała dwanaście lat temu tomem wierszy „Godziny nie mają imion", a następnie wydała dwa tomy opowiadań oraz dwie powieści. „Cudowna pora na podróż" jest właśnie jej ostatnią powieścią. Dodajmy, że w „Iskrach" przygotowuje się przekład poprzedniej powieści Michajłowej — „Otwórz, to ja".

„Cudowną porę na podróż" wydano w popularnej serii „Klubu Interesującej Książki".

Liliana Machajłowa „Cudowna pora na podróż", PIW cena 18 zł.

ZŁA GODZINA

Kolumbijczyk Gabriel Garcia Marquez tłumaczony był już w Polsce. Znane są jego opowiadania wydane przez PIW pod tytułem „W tym mieście nie ma złodziei", znana jest powieść „Sto lat samotności".

Wznowienie „Złej godziny", przejrzane i poprawione, pozwala przypomnieć związki łączące „Sto lat samotności" z poprzednimi utworami kolumbijskiego pisarza. O ile „saga o Macondo" stała się bestsellerem światowym, to „Zła godzina" jest z całą pewnością najwybitniejszą powieścią Marquzea napisaną przed historią magicznego terytorium Macondo, co potwierdził fakt przyznania jej nagrody literackiej ESSO.

Powieść o bezimiennym miasteczku i jego mieszkańcach, ich życiu na tle bezwzględnie obojętnej przyrody i ich lęku przed złą godziną, czyhającą w rodzącej się przyszłości, fascynuje nie tylko świetnie uchwyconym obrazem prowincji. Dzięki doskonałej kompozycji i zwięzłej narracji — dostarcza niemal sensacyjnej fabuły i całej mozaiki malowniczych epizodów.

Znakomity przekład wytrawnego tłumacza i poety, Jana Zycha, oddaje w pełni walory książki Marqueza.

Gabriel Garcia Marquez „Zła godzina", Wyd. Literackie, cena 22 zł.

WARTO PRZECZYTAĆ

PABLO NERUDA „Poezje", PIW, cena 30 zł.
ARTUR GRODZICKI i ROMAN SZYDŁOWSKI „Teatr w Polsce Ludowej", Wyd. Artystyczne i Filmowe, cena 100 zł.
THOMAS HARDY „Tessa d'Urberville", PIW, cena 55 zł.
H. LAXNESS „Dzwony Islandii", Wyd. Poznańskie, cena 60 zł.
ADAM SIKORA „Spotkanie z filozofią", Wyd. Iskry, cena 26 zł.
MIECZYSŁAWA BUCZKÓWNA „Planeta miłości", Wyd. Literackie, cena 10 zł.
JULIUSZ ŻUŁAWSKI „Kartki z drogi", Czytelnik, cena 15 zł.

WILLIAM BAYER

HOLLYWOOD ŻYJE

W przeciwieństwie do wszelkich krążących na ten temat pogłosek — Hollywood żyje. Są i tacy, którzy wierzą, że Hollywood być może stoi u progu nowego złotego wieku swej twórczości, żywotności i siły.

Zła fama o bliskim końcu Hollywood miała swe podłoże. Trzeba przyznać, że kilka lat temu Hollywood — to znaczy amerykański przemysł filmowy — podupadł, a jego przyszłość nie wyglądała różowo. Wynagrodzenie wielkich gwiazd spadło do przeciętnego poziomu. Najlepsi aktorzy, reżyserowie i autorzy scenariuszy byli bezrobotni, a funkcjonariusze związków zawodowych przemysłu filmowego przyznawali, że zatrudnionych jest zaledwie niecałe 40 procent pracowników.

Ale faktycznym symptomem kryzysu był spadek popytu na bilety do kin. Nikt ich nie kupował. Filmy wyświetlano w prawie pustych salach. W całym kraju zamykano coraz więcej kin. A siedem monolitycznych olbrzymów, studia, które dotąd reprezentowały Hollywood — M. G. M., Warners Brothers, Twentieth-Century Fox, Columbia, United Artists, Universal i Paramount — stały w obliczu ogromnych deficytów, grożących niejednemu z nich bankructwem. Posiadały one na składzie wielkie ilości nie wypuszczonych na rynek filmów, za które płaciły niesłychane odsetki, a jednak obawiały się one ryzyka wypuszczenia ich, obawiając się niepowodzenia.

„Hello Dolly" nie powiodło się, tak jak i innym filmom, jak np. „Star", „Catch — 22", „Gaily, Gaily" i wielu, wielu innym, kosztownym produktom filmowym, stworzonym z nadzieją, że staną się wielkimi przebojami i pomogą odzyskać niknące miliony. Ale niepowodzenie spotykało także i tańsze filmy, stwarzane specjalnie dla młodych widzów, którzy stanowili większość publiczności. Młodzi w wieku poniżej 25 lat po prostu przestali się interesować filmem. Naśladownictwa filmu „Easy Rider" nie podobały się i nie akceptowano ich. Głównym tego powodem był fakt, że filmy te produkowane były przez podstarzałych wytwórców, nie rozumiejących młodego widza, dla którego filmy te stwarzali.

Kinomani narzekali na nudne musicale, drętwe klasyki, nieszczere wspomnienia, filmy dla nikogo. Wytwórnie zaś — na niezbadaną publiczność, słabą reklamę, konkurencję telewizji, wreszcie trudności w odgadywaniu gustu widzów. Prorokowano czarną przyszłość. Wytwórnia Paramount wydawała się być u progu bankructwa, tak samo jak Warners oraz Fox. Walki wewnętrzne osłabiały siły i nieomal zniszczyły wytwórnię M.G.M. Napływ nowych funduszów ze śpieszących na ratunek korporacji był niczym więcej niż dodatkowym gwoździem do trumny Hollywood.

Mówiło się o likwidacji studiów i wyprzedaży, więcej bowiem miały wartości muzealnej niż rzeczywistej. Prawdziwym podzwonnym stała się aukcja kostiumów i rekwizytów wytwórni M.G.M. Jeśli dojdzie do sprzedaży czerwonych pantofelków Judy Garland z filmu „The Wizard of Oz", będzie to niechybnym znakiem końca Hollywood — mówiono.

Zaczynały również spadać ceny nieruchomości na przedmieściach Los Angeles, dotąd najbardziej luksusowych. Autorzy scenariuszy przenosili się do Londynu, dyrekcja — do telewizji, a przemysł filmowy w latach 1970 i 1971 przypominał kulejącego olbrzyma, dinozaura o monstrualnym tułowiu stworzonym z przygniatających kosztów administracyjnych, którego wyżywić nie mogły wpływy kasowe.

Były to dni rozpaczliwe i długotrwałe, aż wreszcie nastał okres dziwnych zjawisk w Hollywood. A więc najpierw — co wydawało się zabawne — powstał typ nowego dyrektora „hippisa": był to ten sam szef wytwórni, tak często wyśmiewany w amerykańskich powieściach, tylko obecnie szczycił się długimi włosami, zaniedbaną brodą, palił marihuanę i używał młodzieżowego, antykulturowego żargonu. Wyrzucono go szybko, gdy tylko „splajtowały" jego pierwsze filmy. Słusznie zauważono bowiem, że pod tą nową pokrywą kryły się wartości już dawno odrzucone przez publiczność (ale, niestety, nie przez wytwórnie).

Następnym zjawiskiem, jeszcze bardziej dramatycznym były usiłowania z lat 1960-tych tworzenia „dostosowanych" filmów, opartych na przeżyciach społecznych i politycznych, jak np. protestach studenckich i zamieszkach na uniwersytetach. Były to filmy „RPM", „Getting Straight", „The Strawberry Statement" i inne. Problem polegał na tym, że przemysł pozostawał o kilka lat w tyle za wydarzeniami. W momencie ukazania się tych filmów zainteresowanie ich tematem już dawno wygasło. Takie i tym podobne usiłowania, mające na celu utrzymanie przy życiu umierającego olbrzyma, stały się tylko drobnymi ulepszeniami istniejącego status quo, zamiast przyczynić się do tak potrzebnej prawdziwej rewolucji. Wreszcie u schyłku roku 1971 zwyciężył zdrowy rozsądek i zaczynało pojawiać się Nowe Hollywood.

Zadano sobie szereg podstawowych pytań i udzielono na nie odpowiedzi pozytywnej — po raz pierwszy od dziesiątków lat.

A więc po pierwsze — aby skłonić człowieka do wyjścia z domu, w którym może bezpłatnie oglądać telewizję, by pojechać do kina, gdzie będzie musiał kupić bilet, prawdopodobnie zapłacić za parkowanie swego samochodu, być może także za baby-sittera, czyli opiekunkę do dziecka pozostawionego w domu, wreszcie poniesienia innych kosztów związanych z wyjściem do miasta — trzeba mu oferować coś naprawdę szczególnego, a to na pewno nie oznacza filmów o narkomanach, usuwaniu ciąży, rozpaczy i zamieszkach. Na to będzie ludziom szkoda trzech dolarów, tak samo, jak nie zechcą wydać swych ciężko zarobionych pieniędzy na obejrzenie imponujących dekoracji i przebogatych kostiumów.

Nie można ludzi przygnębiać źle pojętym realizmem, ani zadowalać ich ucieczką w świat rozrywki. Do Hollywood dotarło wreszcie ogromnie spóźnione przekonanie, że widzowie w kinach oczekują filmów, które ich będą w z r u s z a ł y, filmów o ludziach, którzy staną im się bliscy, w których treść i aktorstwo będą ważniejsze, niż najkosztowniejsza produkcja lub środowisko o posmaku skandalu. Było to proste zrozumienie faktu, że dla przyciągnięcia widza do kina należy stwarzać d o b r e filmy.

Ta niezbyt rewolucyjna idea miała przez wiele lat przeciwnika w postaci głównej przesłanki istniejącego w Hollywood systemu — filmy miały być karnawałowymi widowiskami, które dzięki doskonałemu aparatowi reklamy miały przyciągać widzów.

Prawdziwą przyczyną kłopotów Hollywood i na pewno głębszą niż feudalna struktura istniejących tam wytwórni i starych metod produkcji filmów, było zakorzenione przekonanie, że liczy się popyt na filmy, a nie ich wartość. Publiczność nareszcie zrozumiała, że była oszukiwana, i poczuła się tym zmęczona. I tak amerykański przemysł filmowy, stojący w obliczu malejących dochodów i stosu filmów, których nikt nie chciał oglądać, dla ocalenia swego gardła doszedł do jedynego możliwego do przyjęcia wniosku: należy się skupić i skoncentrować na produkcji lepszych filmów, a reklamę pozostawić opinii publicznej.

I tak się stało. Powstały lepsze filmy, które zyskały oddźwięk publiczności. Podczas gdy kilka lat temu producentom udawało się stworzyć jeden lub dwa filmy kasowe, jak np. „Airport" czy „Love Story" (notabene przez niewielu zaledwie uznane za naprawdę dobre filmy), obecnie w ciągu roku powstaje pięć do sześciu filmów wielkich oraz cały szereg średnich, przynoszących znaczne dochody. Rok 1973 przyniósł trzy najlepsze filmy, oglądane w ciągu kilku ostatnich lat: „The Godfather" (Ojciec chrzestny), „Cabaret" (Kabaret) i „Last Tango in Paris" (Ostatnie tango w Paryżu"). Wszystkie trzy przyniosły ogromny sukces. „Ojciec chrzestny" był najbardziej kasowym filmem jaki wyprodukowano, bijąc o kilka milionów dolarów wpływy, jakie uzyskano za legendarny już film „Przeminęło z wiatrem".

Rok 1974 był niezwykle pomyślny, przynosząc takie filmy jak „The Great Gatsby", „Serpico", „The Exorcist", „The Sting", „The Day of the Dolphin" i „The Way We Were".

Chociaż produkcja filmowa związana była zawsze z pewnym ryzykiem, raz było się na wozie, raz pod wozem, a wyprodukowane filmy przyniosły zyski lub kończyły się fiaskiem, producenci hollywoodzcy zakładali, że jeden film „kasowy" pokryje koszty tuzina innych, mniej udanych filmów. Jednak fakt, że miliony ludzi ustawiają się w kolejce po to, by dostać się na jeden z tych kilku wielkich filmów, służył niejednokrotnie i skromniejszym filmom, które cechowała często o wiele wyższa wartość artystyczna.

W roku 1973 pojawili się czterej młodzi, liczący sobie po mniej niż 30 lat, amerykańscy reżyserzy filmowi. Każdy z nich zaprezentował film błyskotliwy i zaskakujący. Byli to: John Hancock i jego film o tematyce sportowej, „Bang the Drum Slowly", Paul Lukas z filmem „American Graffiti", obrazującym małe miasteczko w USA w latach sześćdziesiątych, Martin Scorcese i „Mean Streets", opowieść o włoskiej dzielnicy Nowego Jorku, i wreszcie Brian De Palma z filmem „Sisters", dreszczowcem w stylu filmów Hitchcocka „Psyche" i „Rear Window" (Okno na podwórze).

Te cztery niezwykłe filmy i ich utalentowanych autorów, którzy pojawili się w tym samym roku, można uznać za niezwykłe wydarzenie w kinematografii jednego państwa. Świadczy to nie tylko o żywotności i odrodzeniu kina amerykańskiego, lecz może także być świadectwem odrodzonego zainteresowania publiczności oraz udostępniania środków finansowych dla produkcji skromniejszych i nie traktowanych handlowo obrazów dzięki powodzeniu tak wielu filmów kasowych.

Równolegle z zasadniczymi zmianami, polegającymi na podkreślaniu jakości filmów i faktycznych usiłowaniach, by stworzyć filmy, które będą podobały się publiczności, w Hollywood nastąpiły i inne zmiany. Siedem głównych wytwórni przestało być wszechmocnymi instytucjami, którymi były dotąd. Minęły czasy, gdy gwiazdy filmowe zostawały odkrywane, szkolone, niańczone i reklamowane, by wreszcie zostać uwiązanymi przez kontrakty na lat siedem. Minęły czasy panowania biurokratów, którzy kupowali prawie wszystko, co pojawiało się w literaturze całego pokolenia, a czego niewiele ukazało się na taśmie filmowej. Nie istnieją już straszne „domy pisarzy" — te izby tortur, w których takie sławy jak F. Scot Fitzgerald czy William Faulkner sprzedawali swą duszę, oddając się najemnemu pisarstwu w zamian za ekstrawaganckie wynagrodzenie. Przeminęły także feudalne lenna wielkich królestw wytwórni, działy opracowań dźwięku, rekwizytów, kostiumów i tekstów, w których nieznani z nazwiska ludzie wykonywali wszystkie pracę, a ich administracyjni szefowie otrzymywali za to Oscary. Bezwzględni nieucy na dyrektorskich stanowiskach, pełni prymitywnej władzy nie mogą już więcej żądać drastycznych cięć w pracach podlegających im reżyserów, walczących o każdy cal swej sztuki. Nie ma już tej atmosfery „linii produkcyjnej" i zgrzytu mielonej taśmy filmowej, niszczonej w sposób do złudzenia przypominający zgniatarki samochodów w fabryce w Detroit.

Hollywood obecne jest o wiele mniejsze. nie przypomina już miasteczka przemysłowego, uległo decentralizacji. Hollywood niekoniecznie znajduje się obecnie w południowej Kaliforni. Jest to bardziej przenośnia niż miejsce fizyczne. Znajduje się bowiem wszędzie tam, gdzie kręci się amerykański film. Może to być nie tylko Nowy Jork, San Francisco czy Floryda, ale i południowa Hiszpania, Maroko, Jugosławia i inne miejsce na świecie. Wprawdzie biuro producenta prawdopodobnie będzie się znajdowało w prawdziwym Hollywood, jak również tam dokonuje się ostatecznego ukończenia filmu razem ze ścieżką d'więkową. Jednak zasadą stało się robienie zdjęć w terenie. Czasami jest to trudniejsze i kosztowniejsze od zdjęć robionych w studio, ale filmy amerykańskie z ostatnich lat uzyskały więcej autentyczności, co stało się cechą współczesnego kina amerykańskiego, tak jak stare obrazy studyjne były cechą kina amerykańskiego lat 1940.

Oprócz siedmiu wielkich towarzystw istnieje wiele mniejszych wytwórni filmowych. Większość z nich nie posiada własnego zaplecza i studia. Są to prostu biura, produkujące dwa do trzech filmów rocznie, posługujące się wynajętym sprzętem i utalentowanymi, nie związanymi na stałe ludźmi. Za tymi małymi wytwórniami nie wloką się ogromne koszty administracyjne, przerażające pożyczki bankowe i tasiemcowe listy płacy. Pracują one tak, jak powinna pracować wytwórnia filmowa zdająca sobie sprawę z tego, że przemysł filmowy jest najbardziej spekulatywny, oparty na najtrudniejszej do przewidzenia rzeczy — guście publiczności.

Uznano wreszcie, że kino to sprawa, w której produkt fizyczny nie ma żadnej wartości — jest to po prostu światło, padające na ekran. Liczy się tylko wyobraźnia, fantazja, która przelana na taśmę filmową wielkim nieraz kosztem może spowodować, że ludzie będą chętnie płacić za bilety, znajdując w filmie zadowolenie. Taka produkcja jest niesłychanie ryzykowna, dlatego też wielkie wytwórnie, które to zrozumiały, starają się pozbywać ogromnej części swych posiadłości, powodujących tak wielkie koszty administracyjne, i lokują swój kapitał w innych dziedzinach.

I tak np. Paramount Pictures zredukowały swój personel do trzydziestu osób łącznie z sekretarkami. Studio oddano producentom telewizyjnym. A wytwórnia Paramount po sukcesach filmów „Love Story" i „Godfather" jest prawdopodobnie najbogatszą firmą dzisiejszego Hollywood. Wytwórnie Warners i Columbia stworzyły wspólne zaplecze produkcyjne i wspólnie kierują dawnym studiem Warners. M.G.M. lokuje swe kapitały w nieruchomościach, głównie w Las Vegas, gdzie zbudowała „największy i najlepszy hotel wypoczynkowy". Wytwórnia ta, podobnie jak i Paramount, jest bardzo bogata, czerpiąc dochody z przemysłu płyt gramofonowych, na które popyt wzrósł znacznie od czasów rock-and-rolla.

Reżyserzy tworzą własne wytwórnie, co było rzadkością, przed kilku laty. Tak więc Mike Nichols, Arthur Penn, Stanley Kubrick, Frank Perry, Larry Pierce, Sidney Lumet, Coppola-Friedkin-Bogdanovich i inni produkują swe własne filmy. W Hollywood przekonano się, że lepiej jest popierać tych właśnie ludzi, lokując pieniądze w ich produkcji i zostawiając im działalność na własną rękę, niż kierowanie nimi w ramach jakiejś wytwórni, jak to kiedyś bywało. Reżyser Robert Altman, twórca filmów „M—A—S—H" i „The Long Goodbye", posunął się nawet dalej: posługuje się wyłącznie prywatnymi funduszami, tworząc filmy dokładnie takie, jakie pragnie i sprzedając je później tej czy innej wytwórni jako gotowy do dystrybucji film.

Podobnie jak wielkie wytwórnie filmowe, lokujące swe kapitały w innych przedsięwzięciach, tak i inne wielkie firmy innych przemysłów lokują swe kapitały w produkcji filmowej. Tak znane i wielkie firmy jak Fabergé, Mattel Toys, Quaker Oats, The Readers Digest, Playboy Magazine, General Electric i wiele, wiele innych posiadają swe własne oddziały produkcji filmów, a powstała w ten sposób konkurencja jest bardzo zdrowa dla całego przemysłu filmowego.

W „nowym" Hollywood i dyrektorzy wytwórni są inni. Są to przeważnie ludzie w wieku na przełomie lat 30 i 40, nie tak oddaleni od swych „podwładnych", jak ich poprzednicy. Podejście ich cechuje pewna otwartość i szczerość, cechujące dziś Hollywood, wymiana myśli między publicznością i tymi, którzy są odpowiedzialni za rodzaj filmów, mających być wyprodukowanymi. Dyrektorzy wiedzą, że muszą być w ścisłym kontakcie z publicznością, z szarym człowiekiem, siadają w sali kinowej, by na własnej skórze odczuć emocje widza, tego, który powinien dokonywać osądu filmu, za który zapłacił bilet. Minęły dni, gdy szefowie tacy jak Louis B. Mayers, Harry Cohns i Sam Goldwyn, dokonywali przeglądu filmów w swych prywatnych eleganckich salach projekcyjnych w willach na Bulwarze Zachodzącego Słońca.

Wielu z tych dyrektorów to dawni pośrednicy i agenci filmowych talentów, jak np. Ted Ashley, który jest dyrektorem wytwórni Warners Brothers. W ich dawnej praktyce sukces oznaczał zdolność składania w jedną całość scenariusza, talentów aktorskich i reżyserskich, co w rezultacie dać miało projekt filmu atrakcyjnego dla wytwórni. Obecnie, jako dyrektorzy wytwórni, ci ludzie mają wszelkie dane, aby stać się twórczymi producentami filmu opartego na własnej „składance", jednak z tą różnicą, że gdy jako pośrednicy zainteresowani byli głównie znalezieniem pracy dla swych klientów, obecnie, jako dyrektorzy, dążą do stworzenia filmu, który będzie się podobał i przyniesie zyski.

Wiele dawnej zawiści istniejącej między kinem i telewizją zaczyna obecnie zanikać, szczególnie od chwili gdy stało się wiadome, że najbardziej popularne programy telewizyjne to nie zabawne czy dramatyczne seriale, ale dwugodzinne filmy, wyprodukowane specjalnie dla telewizji. Przypominają one przede wszystkim drugorzędne pod względem popularności filmy z czasów dawnej świetności Hollywood, przyciągające pisarzy scenariuszy, reżyserów i aktorów, a także pomagają w utrzymaniu równowagi finansowej dwu wytwórni o wielkich możliwościach produkcyjnych: Universal i Twentieth-Century Fox. Nie mają one jednak żadnego wpływu na kina, nie mogące sobie pozwolić na dalszy spadek ilości widzów.

Daje się jednak odczuć początki jakiegoś dziwnego sojuszu, który może mieć duże znaczenie dla Hollywood przyszłości. Amerykański przemysł telewizyjny jest oparty na mocnych podstawach. Liczba widzów przed ekranem TV liczy sobie każdego wieczoru dziesiątki milionów. Programy finansowane są przez firmy handlowe, dla których nienaruszalnym prawem jest obawa przed urażeniem jakiejkolwiek warstwy tej szerokiej publiczności, stąd też filmy telewizyjne są w wyższym stopniu zdrowe i odpowiadające najniższemu wspólnemu mianownikowi rynku rozrywki masowej. Z drugiej zaś strony te filmy, przeznaczone do wyświetlania na ekranach kinowych, można specjalizować. Są one i powinny być produkowane dla specjalnych grup publiczności, wymagającej czegoś więcej niż słodkiej papki podawanej bezpłatnie przez telewizję. Tak więc sale kinowe spełniają obecnie inną rolę niż w przeszłości. Stają się bowiem miejscem uczęszczanym przez widzów oczekujących czegoś szczególnego, a nie miejscem rozrywki masowej.

Ta nowa rola kina i produkowanych dla niego filmów okazuje się być głównym kierunkiem. Wiele popularnych czasopism amerykańskich — „Life", „Look", „The Saturday Evening Post" — przestało się ukazywać w minionych latach, ponieważ telewizja odebrała im czytelników. Jednak czasopisma specjalistyczne, zaspokajające zainteresowania specyficznych grup czytelników, istnieją i prosperują nadal.

Można bez końca rozważać te i inne zmiany, które miały miejsce w Hollywood w ciągu ostatnich lat. Można się zastanawiać, na przykład, czy kryzys energetyczny będzie miał wpływ na ilość widzów w kinach. Następnie rozważać dwa niezbyt pomyślne kierunki amerykańskiej kinematografii ostatnich lat: olbrzymi wzrost ilości filmów o tematyce erotycznej, wyświetlanych przez wiele kin, spowodowany liberalizacją przepisów cenzury, oraz powstanie nowego rodzaju „czarnego filmu", który może mieć pewne znaczenie dla rekompensaty rozgoryczenia rasowego, zbyt często jednak okazuje się być obrazem przemocy, demagogii i cechuje go brak wartości artystycznej.

Nad tymi i im podobnymi zagadnieniami można dyskutować długo. Zasadniczym jednak pytaniem pozostaje, czy rzeczywiście nastąpiło odrodzenie Hollywood, czy też wyrwało się ono tylko chwilowo z kryzysu: czy obserwujemy nowy okres amerykańskiej kinematografii, czy też jest to euforia przed ostatecznym jej zniknięciem.

Wszystkie dowody wskazują na to, że publiczność lubi dobre filmy i będzie je popierać. Wydaje się nawet, że woli je od książek, czasopism i programów telewizyjnych. Hollywood więc może oczekiwać długiego jeszcze żywota, a w oparciu o nowe wartości, ukazujące się na ekranie i pojawianie się nowych talentów we wszystkich dziedzinach, można powiedzieć, że Hollywood żyje naprawdę.

MAGAZYN ODGŁOSY

PIOTR SŁOWIKOWSKI

COSTINESTI — LEANGUAGE

Tak, oczywiście, języka costinesti nie ma w wykazach języków z całego świata. Nie ma takiego narzecza, dialektu, takiej gwary. Costinesti istnieje. To mała miejscowość w Rumunii nad Morzem Czarnym. Miejscowość istotnie niewielka, powiększająca się w okresie letnim o kilkanaście tysięcy mieszkańców. Tyle bowiem osób liczy międzynarodowy obóz młodzieżowy. A costinesti leanguage? Jest właśnie konglomeratem wszystkich tych języków, którymi posługują się i porozumiewają uczestnicy obozu. Tak więc: dobri den, dzień dobry, junopod kiwano, zdrastwujtie, guten morgen, good morning i kilka innych powitań daje się tu słyszeć na każdym kroku. Costinesti-leanguage jest własnością wszystkich. Własnością o niebywałej urokliwości. Oprócz bogatego zasobu słów, których znaczeń niejednokrotnie trzeba się domyśleć, język ten składa się jeszcze z gestów!, tańców (wspólnych i narodowych)!, beztroskiego uśmiechu! To proste. Każdy przecież wie, że może swoją radością powodować radość innych, a inni wówczas powodują jego radość. Nawet przeziębieni od nadmiaru słońca i kąpieli, nie dają tego po sobie poznać. Nie wolno, bo markotnieją inni. Nie można, bo i nie ma na to czasu.

W polskiej grupie, organizowanej przez „Almatur", wakacyjne więzy powstają już w kilka minut po wyjeździe z Warszawy. Ściana dwóch przedziałów wagonu sypialnego zostaje złożona. Jest bity rekord „osobowo-pojemnościowy". Osiemnaście osób! Ogólne przedstawianie się. Opowieści o uczelniach, fakultetach i wszystkim co studenckie. I tak już będzie do końca. Dwuosobowy pokój na campingu pomieści nieraz i dwadzieścia osób. A wtedy... Słowacy zaczynają pierwsi. Tak się złożyło. Przynieśli „flaszu". No to „norok", „na zdrowie". I piosenka. Słowacka. O „zelenej trawiczce" albo o chłopcu, który na wojnę pogodł. Odpowiadamy „wojenką, wojenką" i „nie zmogła go kula". Potem śpiewają Rumuni. A gdy już cały obóz śpi i śpiewać trochę nie wypada — rozmawiamy. O wszystkim. Z uciechą wynajdując te przejawy życia, kultury, historii, które nas łączą. Pojawia się słowo hasło — Helsinki.

Trwałymi elementami w gramatyce języka costinesti są taniec i muzyka. Na terenie obozu znajdują się dwie dyskoteki. Tam się szaleje!!! Nigdy nie wiadomo czy tańczący krąg nie powiększy się niespodziewanie o nieznajomych. Nieznajomych tylko przez chwilę. Prezentacja następuje w tańcu. Imię, narodowość, język... costinesti. „Marianna, Rumunia, I would like to help you! Ja wam pomóc!" — krzyczy Marianna, łącząc angielski ze słoweńskim. Jej babka pochodziła ze Słowenii. Acha! No dobrze, to będziesz Maryśką, by ten związek krwi podkreślić. I tak już zostało. I costinesti-leanguage wzbogaca się o naleciałości słoweńskie oraz wdzięk i urok Marianny. „Eljen Lengyel Magyar baratsag!" — krzyknął ktoś ze stojących obok Węgrów. I już tańczą z nami. Przebój lata 75 — „Una paloma blanca". Gigantyczny wąż wchłania coraz to nowe pary. Potem odnajdujemy się w tłumie. Polska grupa ma swoje zawołanie. Odnalezieni przedstawiają nowych znajomych. Dyskoteka kończy się. Za wcześnie, by iść spać. A więc — poloneza! Jakoś to idzie. Przynajmniej podstawowy krok i tempo. „A jak będzie słońce i pogoda". Teraz kolej na innych. W drodze nad morze śpiewają Węgrzy. Potem prosimy Rumunów o taniec. Ten, który podbił wczoraj widownię teatru letniego, gdzie występowały zespoły folklorystyczne. No, proszę, teraz i nam udaje się powtórzyć parę kroków. A kiedy wyczerpie się repertuar narodowy śpiewamy lub po prostu nucimy światowe przeboje. Trochę Karela Gotta, trochę Beatelsów, trochę Donavana. Prym wiedzie Florian. Pojawił się w naszej grupie niespodziewanie. Zaproponował kilku osobom, że je sportretuje. Spodobaliśmy mu się. On nam też. Ma 19 lat, mieszka w Bukareszcie. Mówi świetnie po angielsku, dobrze po francusku. Większość z nas, po rozmowie z nim, postanawia serdecznie przyłożyć się do języków. To także zaleta costinesti-leanguage. Florian imponuje wiadomościami. Interesuje go sztuka. Rodin, Leger, Cézanne, Brancusi. Zna Matejkę, Makowskiego, polski plakat, polski film. Uwielbia Wajdę. Zadziwiająco trafnie analizuje „Wesele". Zaskakuje wiadomościami o polskich dziejach. Mówi o związkach Jagiełły z Mołdawią, o Grunwaldzie, o Sobieskim i Turkach, o Napoleonie i Walewskiej. Florian opowiada dużo o swoim kraju. Wyjaśnia, proponuje, planuje. Podczas pieszej wycieczki wzdłuż wybrzeża jest autorem niepowtarzalnego programu artystycznego. Śpiewa rumuńskie pieśni ludowe, songi z Jesus Christ Super Star, przejmującą pieśń o partyzancie i o Allende. Zaprasza nas na bankiet w pracowni. W obozie on właśnie zajmuje się wizualną reklamą występów w teatrze, pokazów filmów. Na zakończenie portretuje niektóre osoby. Innym wręcza wizytówki wielkości 1 m kwadratowego, małe obrazki przedstawiające jego o nas wyobrażenia, życzenia.

Z Florianem żegnamy się dwukrotnie. W Costinesti i w Constancy. Po pierwszym pożegnaniu Florian postanawia zrobić nam niespodziankę. Przyjeżdża na dworzec kolejowy w Mangalii, gdzie lokujemy się w slipingu. Odwiedza nas w przedziałach. Przemycamy go do Constancy. Jeszcze w ciągu 20 minut coś nam opowie, coś zaśpiewa. Oba pożegnania przebiegają podobnie. Florian staje kilka metrów od autobusu, potem od pociągu. By widzieć wszystkich. Podnosi lewą rękę z rozstawionymi dwoma palcami — PEACE.

Fot.: Sławomir Zientalski

Dawny i nowy Richter

Czy lubicie I Koncert fortepianowy fis-moll (Op. 1) Sergiusza Rachmaninowa? Przyznam, że nie jestem entuzjastą tego utworu, który pomimo, że jest dziś wykonywany we wzbogaconej, w porównaniu z pierwszą, młodzieńczą z 1891 r. redakcji kompozytorskiej, nie dorównuje późniejszym koncertom tego twórcy. Ale słuchać się daje, zwłaszcza w doskonałych wykonaniach, jako że jest utworem efektownym, o łatwo wpadającej w ucho melodyce, w dodatku wirtuozowskim. Dlatego chętnie przesłuchałem go w nagraniu Światosława Richtera z Wielką Orkiestrą Symfoniczną Radzieckiego Radia pod dyrekcją Kurta Sanderlinga. Dostępne niegdyś jedynie w wersji monofonicznej, zostało ono obecnie wydane na płycie „Melodii" (CM — 04289-90) w postaci „stereofonizowanej", co wyszło mu bardzo na dobre, mimo że pochodzi aż z 1955 r. Drugą stronę płyty uzupełnia kapitalne wykonanie I Koncertu fortepianowego Sergiusza Prokofiewa, dokonane przez S. Richtera w 1952 r. wraz z Filharmonią Moskiewską, pod dyrekcją doskonałego Kiryłła Kondraszyna, niestety nieco słabsze technicznie (fatalne brzmienie smyczków!). Słuchając tej płyty zastanawiamy się, jak różny był dawny Richter od dzisiejszego Richtera intelektualisty, oraz jak ciekawe były jego ówczesne, spontaniczne emocjonalne i nieprzeintelektualizowane interpretacje.

Mamy nieczęstą u nas okazję do porównania dwóch różnych nagrań tego samego utworu, dokonanych przez tego samego pianistę, w różnych okresach czasu, z różnymi orkiestrami. Mam tu na myśli V Koncert fortepianowy G-dur (Op. 55) S. Prokofiewa, dostępny u nas zarówno na płytach „Muzy", jak i radzieckiej „Melodii". Chodzi mi o stare, ale znakomicie odmłodzone nagranie z 1959 r., zrealizowane przez S. Richtera razem z Filharmonią Narodową pod dyrekcją Witolda Rowickiego (Muza SXL 0055) oraz o znacznie od niego nowsze nagranie tego samego utworu przez tego samego artystę, tym razem z Londyńską Orkiestrą Symfoniczną i Lorinem Maazelem, bardzo popularnym na Zachodzie amerykańskim dyrygentem, działającym głównie w Europie. Mamy je na płycie „Melodii" (CM — 03121-22), której pierwszą stronę wypełnia ciekawie interpretowany II Koncert fortepianowy Beli Bartóka w tym samym wykonaniu. Polskie Nagrania odczekały wiele, bardzo wiele, zanim zdecydowały się wytłoczyć Richterowskie nagranie V Koncertu Prokofiewa (podobnie jak inne nagrania tego artysty, zrealizowane swego czasu w Polsce) w wersji stereofonicznej. Było ono jednak dostępne od lat kilkunastu wybranym na płytach zachodnioniemieckich (DGG), a od niewielu mniej na płycie NRD-owskiej „Eterny" (825 962), w połączeniu z polskim nagraniem Richtera Koncertu d-moll W. A. Mozarta (KV 466), które u nas nie doczekało się jeszcze wersji stereofonicznej. „Polski" Prokofiew w Richterowskiej interpretacji brzmi doskonale, wcale a przynajmniej niewiele gorzej od nagrania z L. Maazelem. Jest przy tym bardzo od niego inny. Allegro pierwszej części jest rzeczywiście bardzo con brio, spontanicznie radosne, toccata części trzeciej motorycznie ludyczna, larghetto subtelne, przejrzyste, rozśpiewane, skupione, ale przecież bez tego intelektualnego skupienia, z jakim Richter gra ten koncert w nagraniu z Maazelem. Zdecydowanie wolę tę starszą, zarejestrowaną na polskiej płycie interpretację, niż nową, o jakże odmiennym klimacie. Ale jest to już sprawa gustu — ja po prostu takiego Prokofiewa wolę.

XYZ

SUFLER

Longplay ten ma numer SX 1264. Ukazał się niedawno, bowiem pierwszą edycję można było nabyć w Sopocie w czasie tegorocznego festiwalu. I jeśli mówić tu o wyjątkowości tego albumu to przede wszystkim dlatego, że cykl produkcyjny, do jakiego przyzwyczaiły nas „Polskie Nagrania", uległ w tym przypadku skróceniu do zaledwie (!?) trzech miesięcy.

Na Zachodzie przy okazji wydawania jakiegoś longplaya mówi się o jego producencie; u nas — tego terminu w takim znaczeniu nie używa się, ale gdy chodzi o „Cień wielkiej góry" (niedawny przebój „Budki Suflera", a zarazem podtytuł ich płyty) rolę owego spiritus movens przy nagraniu i wydaniu LP spełnił Czesław Niemen. On także wspomagał lubelskich muzyków grając na moogu; drugim sidemanem był Marek Stefankiewicz (organy). W poszczególnych utworach towarzyszyły wykonawcom „Alibabki".

Na płycie, pod białą — nawiązującą do angielskich wzorów — okładką, znalazło się pięć utworów, z tym, że ten piąty znajdujący się na stronie B jest kilkunastominutową suitą („Szalony koń"). Wszystkie utwory są wspólnym dziełem K. Cugowskiego i R. Lipko (kompozycje) do tekstów A. Sikorskiego, redaktora lubelskiej rozgłośni Polskiego Radia, która przez dłuższy czas — w początkowej fazie istnienia zespołu — opiekowała się „Budką Suflera" (dziś współpracują z Agencją Koncertową PSJ w Warszawie). Dodajmy jeszcze, że autorem jednej z piosenek jest Jan Tomasz.

Całość — bardzo dobrze nagrana, lecz niestety nie starczyło inwencji aranżerowi w ubarwieniu i różnicowaniu następujących po sobie muzycznych fragmentów. To właśnie obok pewnej jednostajności niezłych — mimo wszystko — tekstów, sprawia, iż bez uczucia przesytu i znużenia słucha się tego longplaya tylko przez pierwsze dwadzieścia minut.

Szkoda, że tak się stało, bo ten fakt psuje efekt finalny solidnie przygotowanej płyty. Poza tym, świadczy jak gdyby o pewnym niezdecydowaniu młodych, ambitnych chyba muzyków. Czuje się momentami, jakby nie byli oni przekonani do tego, co robią, jakby grali nie swoją muzykę, a jakąś inną, obcą „podpowiedzianą". Kto zatem jest ich suflerem?

K.D.

POWIĘKSZENIA

POPRAWKA

Nie wiadomo po co poprawia Gałczyńskiego Krystyna Majda z „Głosu Robotniczego". Cytując fragment wiersza „Już kocham cię tyle lat", pisze:

„tyś jest r e w o l t ą, i k l ę s k ą i m g ł ą" amputując wierszowi asonans, ponieważ Gałczyński nie użył w tych słowach tzw. nosówek (ą), lecz dla pełniejszej ekspresji i dla rymu napisał — rewolta, klęska, mgła"..

Wystarczy zresztą przeczytać głośno wersję poety i wersję „GR", aby się przekonać, że to jednak Gałczyński miał rację.

WALIZKA Z MILIONAMI

Pan **Jerzy Edigey** wydał nowy kryminał pt. **„Walizka z milionami"**. Jest to opowieść wielce pouczająca. Paru facetów napada na bank w Łowiczu, a potem wykańcza się wzajemnie. Przeprowadzona tu została odkrywcza teza, że kradzione nie tuczy, a wprost przeciwnie.

MISTRZ BUJA

Szurkowskiego zdyskwalifikowano za to, że wyjechał z żoną do Czechosłowacji, a potem prywatnie wystartował w wyścigu Hradec Karlove — Wrocław. Władze sportowe się zdenerwowały, bo mistrz odmówił udziału w innym wyścigu, tłumacząc się chorobą dziecka, które było zdrowe.

Tyle całej sprawy. O stronie etycznej całej historii nikt nie pomyślał. Mistrzowi wiele wolno.

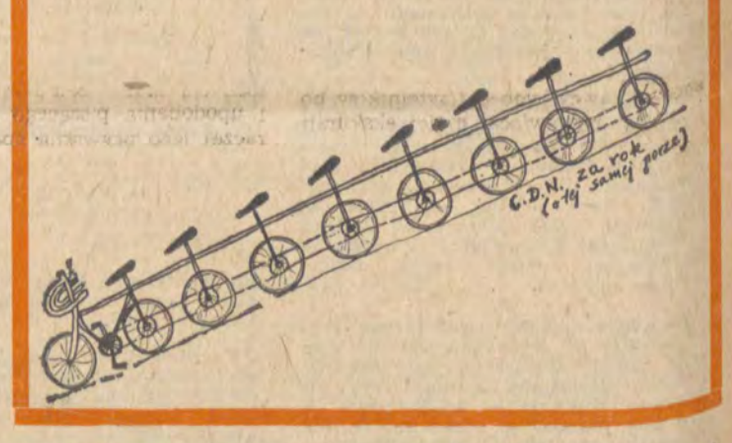

PETER BENCHLEY

JAWS

W Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii ogromną popularnością cieszy się obecnie film o olbrzymim rekinie-ludojadzie zatytułowany „Jaws" (paszcza, dosł. szczęki), oparty na powieści Petera Benchleya pod tym samym tytułem. Jest to jak dotąd najbardziej kasowy film w historii kina: w króciutkim czasie pobił rekord wpływów ustanowiony przez „Ojca chrzestnego". Poza tym zapoczątkował w USA nowy styl, który można nazwać rekinomanią. Ludzie masowo kupują koszulki i inne drobiazgi ozdobione wizerunkami rekina, popularne są gumowe, nadmuchiwane rekiny różnej wielkości, otwiera się kluby, kawiarnie, restauracje wystrojone we wszystko, co ma jakiś związek z rekinami itp.

Peter Benchley (ur. 1940) pracował w „Washington Post" i w „Newsweek". Pisał także przemówienia dla premiera Johnsona. „Jaws" jest jego pierwszą powieścią. Jest ona napisana według klasycznego schematu westernu. Zło ucieleśnione jest w niej w postaci ogromnego rekina-ludojada, który terroryzuje mieszkańców nadmorskiego kurortu a dobro reprezentuje szef policji, Martin Brody. Brody musi walczyć nie tylko z rekinem ale i z mieszkańcami miasteczka, których egzystencja uzależniona jest od napływu turystów. Gdy po pierwszym ataku rekina Brody decyduje się na zamknięcie plaży, zmuszony jest zaniechać swoich zamiarów pod presją tych wszystkich, którzy obawiają się strat z powodu braku wczasowiczów. W konsekwencji zabitych zostaje dalszych dwoje ludzi. To decyduje, że Brody postanawia ostatecznie rozprawić się z potworem. Zakończenie jest takie jak we wszystkich westernach tego typu; szczegółów jednak nie zdradzę mając nadzieję, że film można będzie wkrótce zobaczyć i u nas. Dodam tylko, że akcja jest wyjątkowo pasjonująca.

Dla naszych czytelników wybraliśmy fragment z samego początku książki.

Ogromna ryba bezszelestnie prula wodę, w ciemnościach nocy poruszając się dzięki krótkim machnięciom swego krągłego ogona. Paszczę miała nieznacznie otwartą, na tyle jednak, aby umożliwić przepływ wody przez skrzela. Poza tym prawie nie wykonywała żadnych innych ruchów: czasem tylko zmieniała pozornie przypadkowy kierunek przez nieznaczne uniesienie lub opuszczenie którejś płetwy piersiowej, podobnie jak to czynią ptaki opuszczając w dół jedno skrzydło a unosząc drugie. Jej oczy nic nie widziały w ciemności, a inne zmysły też nie przekazywały żadnych niezwykłych sygnałów do małego, prymitywnego mózgu. Mogłoby się wydawać, że ryba śpi, gdyby nie jej ciągły ruch — zachowanie dyktowane przez miliony lat doświadczeń poprzednich pokoleń: nie posiadając, jak inne ryby, ani pęcherza pławnego, ani narządu umożliwiającego przepychanie zawierającej tlen wody przez skrzela mogła żyć tylko w ruchu. Gdyby ją zatrzymać, utonęłaby i zginęła z braku tlenu.

Ląd wydawał się prawie tak ciemny jak woda, gdyż nie świecił księżyc. Morze od brzegu dzielił długi, prosty pas plaży — tak białej, że świeciła w mroku. Z domu stojącego za rzadko pokrytymi trawą wydmami padał żółty blask światła na piasek.

Drzwi domu otwarły się i na drewnianą werandę wyszli mężczyzna i kobieta. Stali przez chwilę patrząc na morze, pocałowali się szybko i popędzili po schodkach w dół na plażę. Mężczyzna był pijany i potknął się na ostatnim stopniu. Kobieta zaśmiała się, wzięła go za rękę i pobiegli razem.

— Najpierw się wykąpiemy, aby ci wyszumiał alkohol z głowy — rzekła kobieta.

— Nie przejmuj się moją głową — odpowiedział jej towarzysz. Śmiejąc się upadł w tył na piach pociągając za sobą kobietę. Oboje nerwowo mocowali się ze swoim ubraniem i splótłszy się w uścisku młócili w gorliwym zapale na chłodnym piasku.

Potem mężczyzna położył się na plecach i zamknął oczy. Kobieta popatrzyła na niego i uśmiechnęła się.

— Co z naszą kąpielą? — zapytała.

— Idź sama. Poczekam tu na ciebie.

Kobieta wstała i podeszła do miejsca, gdzie łagodne fale przybrzeżne zaczęły obmywać jej stopy. Woda była chłodniejsza niż nocne powietrze, gdyż była to dopiero połowa czerwca. Kobieta zawołała: „Czy na pewno nie zechcesz tu przyjść?", ale śpiący mężczyzna nie odpowiedział.

Cofnęła się o kilka kroków a potem pobiegła do wody. Z początku dawała długie, pełne gracji kroki lecz wkrótce mała fala rozbiła się o jej kolana. Kobieta potknęła się lecz zdołała utrzymać się na nogach, po czym rzuciła się na następną falę. Wstała, ponieważ woda sięgnęła jej tylko do bioder, odsunęła włosy z twarzy i szła, aż woda zakryła jej barki. W tym miejscu zaczęła płynąć w typowy dla lichych pływaków sposób, to znaczy rozgarniając wodę nierównymi ruchami i trzymając głowę nad powierzchnią.

Sto metrów od brzegu ryba wyczuła zmianę rytmu morza. Nie widziała kobiety ani też nie wyczuła jej węchem. Wzdłuż jej ciała znajdował się szereg maleńkich kanalików wypełnionych śluzem i zawierających zakończenia włókien nerwowych, które reagowały na drgania wody i sygnalizowały to do mózgu. Ryba skierowała się do brzegu.

Kobieta płynęła dalej w morze, zatrzymując się od czasu do czasu, aby, kierując się światłem z okien domu, ustalić gdzie się znajduje. Morze było spokojne i nie musiała trzymać się blisko brzegu. Jednakże zaczęła się męczyć więc odpoczęła chwilę depcząc wodę, po czym skierowała się ku brzegowi.

Drgania stały się silniejsze i ryba rozpoznała żer. Ogon przyśpieszył swoje zamaszyste ruchy popychając ogromne cielsko do przodu z szybkością, która zakłóciła spokój maleńkim fosforyzującym stworzeniom wodnym, wywołując ich wzmożone świecenie i otulając rybę jak gdyby iskrzącym się płaszczem.

Ryba zbliżyła się do kobiety i przemknęła obok w odległości kilku metrów, niecałe dwa metry pod powierzchnią. Kobieta poczuła tylko falę zwiększonego ciśnienia, która uniosła ją na chwilę w górę a potem uwolniła. Przestała płynąć i wstrzymała oddech. Nie czując nic więcej, zaczęła na nowo płynąć niezgrabnie rozgarniając wodę.

Ryba zwęszyła ją teraz a drgania wody, gwałtowne i nieregularne, sygnalizowały jej wyczerpanie i niepokój. Ryba zaczęła krążyć dookoła, blisko pod powierzchnią. Płetwa grzbietowa wynurzyła się ponad wodę a ogon. młócąc na prawo i lewo, ciął z sykiem szklistą powierzchnię wody. Seria drgań wstrząsnęła cielskiem ryby.

Po raz pierwszy kobieta poczuła strach, choć nie wiedziała dlaczego. Poziom adrenaliny w jej tułowiu i członkach podniósł się gwałtownie wywołując uczucie mrowiącego ciepła i ponaglając do pośpiechu. Oceniła, że od brzegu dzieli ją jeszcze około pięćdziesięciu metrów. Wyraźnie widziała linię białej piany, gdzie fale rozbijały się o brzeg. Widziała światła w domu i przez jedną błogą chwilę pomyślała, że widzi jak ktoś porusza się na tle okna.

Ryba znajdowała się z boku, w odległości niecałych czterdziestu metrów, gdy nagle zrobiła skręt w lewo, skryła się całkiem pod wodą i przy pomocy dwu szybkich i potężnych uderzeń ogona dopadła kobiety.

Z początku kobiecie wydało się, że uderzyła nogą o skałę lub o kawał pływającego drewna. Nie odczuła bólu lecz tylko pojedyncze gwałtowne szarpnięcie za prawą nogę. Sięgnęła w dół, starając się lewą ręką wyczuć w ciemności stopę a prawą nogą deptała wodę, aby utrzymać się na powierzchni. Nie natrafiła na stopę. Sięgnęła w górę nogi i wtedy ogarnęło ją uczucie nudności oraz poczuła, że w głowie jej się kręci jak gdyby miała stracić przytomność. Palcami namacała kość i postrzępione mięśnie. Poznała, że ciepły, pulsujący w chłodnej wodzie strumień omywający jej palce był jej własną krwią.

Ból i strach dopadły ją jednocześnie. Kobieta odrzuciła w tył głowę i wydała gardłowy okrzyk trwogi.

Ryba oddaliła się. Pożarła kończynę kobiety połykając ją w całości, bo kości i mięso znikają w przepaścistej gardzieli tego stworzenia za jednym skurczem mięśni. Potem ponownie zawróciła kierując się śladem krwi buchającej z tętnicy udowej kobiety — śladem tak wyraźnym jak światło latarni morskiej podczas bezchmurnej nocy. Tym razem ryba zaatakowała od dołu. Wystrzeliła w górę spod kobiety rozwarłszy paszczę. Wielki stożkowaty łeb uderzył z siłą lokomotywy, wyrzucając kobietę ponad wodę. Szczęki gwałtownie zamknęły się wokół jej tułowia miażdżąc na papkę kości, mięśnie i narządy wewnętrzne. Trzymając ciało kobiety w paszczęce ryba zwaliła się w wodę z grzmiącym hukiem bryzgając barwną, fosforyzującą fontanną piany i krwi.

Pod wodą ryba potrząsała łbem w prawo i lewo a jej żłobkowane trójkątne zęby piłowały nie zmiażdżone jeszcze ścięgna. Martwe ciało rozpadło się na części. Ryba połykała je i zabierała się do następnych. Jej mózg otrzymywał sygnały o znajdującej się niedaleko zdobyczy. Woda była zmieszana z krwią i ze strzępami mięsa i ryba nie była w stanie odróżnić sygnałów od ich źródła. Pruła wodę we wszystkich kierunkach pływając z otwartą jak włók paszczą w zanikającym tumanie krwi i czatując na przypadkowy kąsek. Jednakże wtedy przeważająca większość kawałków ciała kobiety rozproszyła się już. Niektóre zatonęły i spoczęły na piaszczystym dnie, gdzie poruszały się leniwie w takt falowania wody. Inne popłynęły z prądem unosząc się na falach w stronę brzegu.

Tłumaczył:
B. KRAKOWIAN

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102 telefony 652 44 217-98 oraz 293 00 wew 29 39. 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótu. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Zam. 1837. U-12. Nr indeksu 37006/26762.